№ 42. Warszawa, dnia 4 (16) Października 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Z pobytu w Paryżu.

(Dokończenie).

Żeby trochę się otrząść z wrażeń paryzkich, nic nie ma milszego, jak odbyć podróż do portów francuzkich. Tam choć miasta urządzone na sposób Paryża, co je bardzo wygodnemi czyni, jest wiele przedmiotów które zajmują uwagę swoją niezwykłością i widokiem samego morza, tego niebezpiecznego żywiołu który najtrudniej się daje owładać rozumnym pomysłom ludzkim. Porty wojenne nie są tak zajmujące, ale porty handlowe dziwnie ożywione. Szerburg, Brest jakieś ponure, ale Havre pełen niewymownego życia. Okręta zwożą do niego wszystko co świat ludziom dostarcza. Ruch też tu na morzu ogromny; co raz to inny okręt do brzegu przypływa, a każdy śledzony pilnie na najdalszej przestrzeni. Rozhukane bałwany kołyszą statkiem który jak piłka podskakuje — czasem prawie z oczu niknie i zdaje się że ginie w otchłaniach oceanu, a tu nagle wyskakuje na fali jak na rumaku, witany najżyczliwszemi okrzykami zgromadzonych na brzegu ludzi. Marynarze zawsze mając bezdeń morską pod nogami a przestrzeń bez końca nad głową, jak tylko zejdą z okrętów, najpierwej wielu z nich biegnie do kościoła, szczególniej jeśli to się zdarza w niedzielę.

Patrząc na ich cichą a tak szczerą modlitwę, na falę morską z objęć której tylko co się wyrwali, nie dziwiłem się że Bernardin de Saint Pierre i Kazimierz Delavigne, urodzeni w Hawrze w pracach swoich taką rzewność, naturalność i siłę połączyć umieli. Ten wieczny obraz wielkości jaką mieli przed sobą, ta bieda która często ubogich marynarzy prześladuje, ten widok niebezpieczeństw z któremi się walczy, ta radość bez granic kiedy się wita drogie osoby z podróży, ta rozpacz kiedy z wracającym okrętem przybywa wieść zawiedzionej nadziei, musiały tych dwóch ludzi niepospolitych zdolności —natchnąć koniecznie szlachetnemi myślami jakiemi tak szczodrze rodaków swoich ozdobili. Posągi ich też stoją przy wnijściu do muzeum, które jest jednem z najpiękniejszych muzeów całej Francyi, najwięcej posiadające okazów ryb morskich i potworów morskich, oraz ptaków, gniazd i jaj ptasich. Zebrano w nim wszystko co może posłużyć ku pomocy w kształceniu się miejscowej młodzieży. Są i etnograficzne zbiory; a parę kolonji indyjskich, w małym formacie doskonale przedstawiających tamecznych ludzi, stroje, mieszkania i zajęcia, ofiarował Lesseps nieulękniony przedsiębierca przekopania kanału Suezkiego. Są także zbiory nie wielkie ale dobrze dobrane rozmaitej broni; ładne wyroby dawnego i nowożytnego przemysłu, ładna galerya złożona z oryginałów i kopji znakomitszych rzeźb, jedna ale wielka i ślicznie dobrana sala malowideł. Są i kości ludzkie i modele anatomiczne — słowem wszystko tu jest i ze wszystkiego po trochu znaleść można. To właśnie jest godne zazdrości we Francyi, że w każdem większem mieście czy miasteczku jest wszystko co się miejscowej publiczności pożytecznie przysłużyć może. I w oknach muzeum w Hawrze nie opuszcza jeszcze widok morza, ubarwionego tysiącznemi powiewającemi na masztach banderami wszystkich krajów kuli ziemskiej. Najładniej między nimi wygląda Brezylijska, na żółtem tle, na zielonem polu mająca herb państwa z ładnych kolorów złożony. Świetne dwa francuzkie okręta gotowały się w drogę do New-Yorku, brezylijski z kompanji transatlantyckiej także wkrótce miał za niemi wyruszyć w podróż, a opancerzony monitor jak rozgniewana ropucha stał na brzegu myśląc może, że jest niepokonany, a tu pan Krupp wynalazł takie kule którym oprzeć się nie może żadne siedmkroć powtórzone opancerzenie. Dziwna rzecz że w wieku gdzie się najwięcej mówi o postępie, o ludzkości—rozum ludzki wysila się na wynalezienie najstraszniejszych narzędzi śmiercionośnych, jakby pragnął jak najprędzej te wszystkie rozumy wygubić, jak szkodliwe gadziny.

Pomimo całego komfortu okrętowego, jakaś tęsknota, jakiś smutek ogarnia jak się wejdzie do tych pysznych kajut, a cóż dopiero gdy się zejdzie tam gdzie jest oddział dla emigrantów lub zbrodniarzy. Przy mnie wiele statków przypłynęło z drzewem kampeszowem przydatnem w farbiarstwie i używanem przy fabrykacyi wina; przywieziono równie sodę i węgle z Anglji a powieziono do niej woły; prócz tego co chwila z czemś to przypływał to odpływał okręt, a kiedy wieczorem światła wszędzie zapalą, kiedy latarnie morskie zabłysną na brzegach, to widok tak uroczy, że się nim nasycić nie można. Naprzeciw Hawru leżące Caen, Trouville, Hompfleur — światłami tylko dają znać o sobie — bo widziane w dzień, nikną w nocy, a ruch morski na chwilę nie ustaje.

Latarnie morskie prawdziwe opiekunki podróżnych, ulegały przez całe wieki rozmaitym ulepszeniom. Najpierwej oświetlano je drzewnym ogniem prawie przez dwa tysiące lat. Ale blask od tego ognia nie daleko się rozchodził. W XVIII wieku zaczęto oświetlać je węglem kamiennym, potem w latarniach zaczęto ustawiać reflektory, dalej zwierciadła wklęsłe. Następnie Fresnel który najwięcej rozmyślał jakby okrętom ułatwić żeglugę, zmierzającym ku brzegom za pomocą najlepszych latarni morskich, zaczął używać ogromnych czteroknotowych lamp petrolowych w bardzo dużych latarniach kryształowych złożonych z soczewek szkła rozpraszającego. Światło tych latarni daje promienie równe światłu pięciu tysięcy lamp: od tej pory rozbicia okrętowe zmniejszyły się o trzecią część.

W 1865 roku zamieniono światłem elektrycznem, oświetlenie lampowe w tych samych latarniach kryształowych co jeszcze siłę światła zwiększyło. Latarnie morskie w coraz większej liczbie błyszczą po

brzegach. Im się kto więcej cywilizuje, tem więcej ich stawia przy brzegach swoich—idąc w pomoc podróżnym, za których ocalenie co wieczór dzwony kościelne do modlitwy wiernych wzywają. Michelet w swojem dziele: Morze, tak się wyraża o latarniach morskich:

„Opatrzność ludzka utworzyła opiekuńcze ognie różnych kolorów na ziemi. Dla marynarza kierującego się wedle konstelacyi na morzu, niby nowe niebo przybyło. Kiedy żadna gwiazda na firmamencie nie błyszczy, nagle spostrzega światło na ziemi, odwaga weń wstępuje, bo zoczył gwiazdę nową, gwiazdę braterstwa. Wielkie to pokrzepienie moralne, wśród niebezpieczeństwa módz sobie powiedzieć: wytrwajmy jeszcze chwilę! jeszcze jeden wysiłek! Choć morze, wichry przeciwko nam, nigdy nie jesteśmy sami, bo *Ludzkość* czuwa nad nami. Wśród ciemnych, burzliwych nocy, latarnie się poruszają jak gdyby bolały nad szaleństwem oceanu i ciskają ogień za ogień zdumionym błyskawicom by przyświecić gdzie niebezpieczeństwo grozi.“

Jedna z tak udoskonalonych latarni morskich, jest celem ciekawości w Hawrze, i jeżeli w nocy światło jej jest piękne i dobroczynne, to w dzień z jej wierzchołka widok na morze niemniej dobroczynnie myśli uspasabia.

Dobry teatr, śliczne i liczne aquarium, przechadzki w okolice, z których najwięcej uczęszczana jest wieś Saint Adresse i niedaleko niej pałacyk królowej Krystyny hiszpańskiej, bardzo pobyt urozmaicają, a jeśli się trafi na Regaty czyli wyścigi morskie, to kilka dni jak nic schodzi w Hawrze. Okręta używane do wyścigów, należą najczęściej do bogatych właścicieli: są to okręta i do transportów przydatne, a na wyścigach okrętowych jak na wyścigach konnych bawią się w zakłady o znaczne sumy lub walczą o nagrody wyznaczone. Wyjście z portu ścigających się okrętów, jest nadzwyczaj majestatyczne, potem niknie wszystko na przestrzeni morza i tylko z rozgłosu opowiadań o przebiegu walki dowiedzieć się można.

Najwięcej bogaci Anglicy oddają się tym zabawom wyścigowym na morzu, ale wszyscy w ogóle ci ochotnicy choć bogaci ani na lordów, ani na wielkich panów wcale nie wyglądają, przedstawiając jak najwierniej typ młodzieży zwanej u nas bałagułami którzy pozostali już mniej więcej w tradycyi i w mieszaninach Jarosza Bejły. Widać że namiętność do handlowania końmi i probowania ich rączości, tak samo się odbija na powierzchowności wielbicieli morskich gonitw. Ze zwierząt żyjących w Hawrze, są dwie foki w grocie akwaryum biegające najswobodniej i pluskające się w ładnej obok sadzawce, a tak posłuszne dla swoich strażników, że na każde zawołanie robią co im każą. Jak strażnik krzyknie: viens ici Jacques — to biegną obie na wyścigi, i ślicznemi swymi oczyma patrzą pilnie na wołającego.

W Paryżu wystawa *przemysłu rzecznego i morskiego na polach Elizejskich* jest tak obfitą, że nie ma prawie przedmiotu, któregoby przemysłowcy nie wystawili. Z pomiędzy wielu działów budzi tu największą ciekawość aparat pana Tozzelli, dla wynajdywania rzeczy w morzu zatopionych, i do wydostawania z dna morskiego gąbek i korali. Są to metalowe szpony za naciśnięciem nadzwyczaj lekko się rozszerzające i chwytające przedmiot ku jakiemu nurek siedzący w dzwonie go kieruje. Aparat ten został nagrodzony na wystawie geograficznej. Pospieszny okręt Bazina, także budzi ciekawość: ma on o trzy dni prędzej jak wszystkie inne odbywać podróże z Europy do Ameryki. Prócz aquarium, jest tu jeszcze kaskada w ozdobnej sztucznej grocie i kąpiel dla koni która byłaby przydatną tam, gdzie woda sztucznie sprowadzona do wszystkiego daje się zastosować. Stanowi ją rodzaj groty gdzie konie wprowadzają i opryskują wodą ciskaną z kilku małych otworów, niby jak fontanny. Resztę składają machiny rozmaite, narzędzia gospodarskie, rądle ekonomiczne, czekolada, kawa, cukierki, guziki, flakony, fortepijany, fotografije, porcelany, modne suknie, materye, co wszystko o tyle ma związek z morzem o ile pojmuje się, że na okręt wszystko zabrać nie zawadzi, wszystko na coś się przyda, nawet lalki, piłki i bąki do zabawy dzieci. Jest to bardzo zajmujące, ale jakoś niestosownie wygląda przy tytule, morsko-rzecznej wystawy.

Zarzut że Francuzi geografji nie umieją, także wywołał kongres geograficzny na który wielu się uczonych zjechało. Jaki będzie z tego rezultat, to przyszłość okaże, ale zbiory wystawione przez Francyę dowodzą, że skarbów geograficznych była w niej oddawna ilość nieprzebrana. Nie podobna nawet wyliczyć wszystkich map dawnych i nowych które kilkanaście sal zajmowały, tych kart wypukłych, map geologicznych, leśnych, dróg prowincyonalnych, wielkich dróg kolei żelaznych, globusów ziemskich i niebieskich, rysunków agronomicznych roślinności francuzkiej. Wszystkie, ogromem swoim ćmiła mapa Francyi zrobiona przez sztab główny francuzki, wisząca w sali posiedzeń na głównej ścianie. Dla czego więc Francuzi rzeczywiście nie umieli dobrze geografji, to chyba tem się daje wytłomaczyć, jak powiada bajka Jachowicza, że „zamiast ciastka, zamiast wstążki, kupowała Basia książki, lecz ich wcale nie czytała, ot tak tylko byle miała.“ Oprócz Francyi, wystawa rossyjska była bardzo liczna, Angielska miała mapy bardzo starannie wykonane, Szwecya bardzo ładne okazy geograficzne i etnograficzne, Szwajcarya także nie ubogo wyglądała, ale Hiszpanija i Portugalija bardzo nie wiele przysłały, chociaż wszystkie narody przedstawiły co miały najstarszego w archiwach aż do najnowszych czasów. Do tego dodać trzeba lunety, teleskopy, zegary, rozmaite narzędzia geometryczne, astronomiczne i t. p. Wszystko to zapełniało ogromną część Tuilleryjskiego ocalonego i naprawionego pałacu w nad Sekwańskiem jego skrzydle, i aleję od Tuilleryów do oranżeryi. Jaka z tego będzie korzyść dla nauki, to wykaże porozumienie się uczonych, dla nas dość wiedzieć że przy ich pomocy niebo i ziemia coraz lepiej są poznawane. Teleskopy udoskonalone pozwalają czytać w gwiazdach jak w otwartej księdze. Wyborne te narzędzia tutejszego obserwatoryum coraz to nowe gwiazdy odkrywać pomagają. Nowy teleskop ustawiony w ogrodzie Obserwatoryum, ma osobny okrywający budynek, który wedle potrzeby ustawiać nad nim lub zdejmować można. Cztery metry długości ma trąba teleskopu (tube) a obwód taki że w nim człowiek wygodnie mógłby się położyć. Cały waży 2,800 kilogramów i kosztuje 70,000 franków. Jest to najpożyteczniejszy z istniejących dotąd teleskopów—bo choć w Anglji jest większy ale tak ciężki że poruszyć go trudno i stoi bezużytecznie. Tutejszy łatwo się obraca za pomocą przyrządu zegarowego systematu. Schodki spiralne na kółkach, toczą się po relsach w około teleskopu, na nich umieszczony obserwator dowolnie wszystkiem kieruje. Pan Le Verrier dyrektor Obserwatoryum paryzkiego bardzo miły, gdy jest w dobrym humorze, rozkochany w swoich narzędziach astronomicznych jak młodzian w pierwszej swej ukochanej i jest także wielkim lubownikiem ogrodu. Zwiedza codzień wydział warzywny i owocowy i cieszy się każdem dobrze rosnącem drzewkiem. Kwiaty także niezmiernie lubi i róż ma ładny dobór. Astronomija z ziemskiem gospodarstwem dobrze bardzo się zgadza i jedno drugiego wdzięk podnosi. Gmach obserwatoryum cichy, poważny, daleki od wszelkiej wrzawy, ma nawet w około ulice asfaltowane, aby jak najmniej ruch powozów wstrząsał narzędziami przy obserwacyach, które pomimo to odbywają się w nocy kiedy wszelki ruch w mieście ustanie, gdyż na takowy bardzo jest czułe zwierciadło z żywego srebra ciągle przy doświadczaniach potrzebne. Zamiłowanie w ogrodach, sadach i warzywnem gospodarstwie, niepostrzeżenie wpływa na zwiększenie lepszych gatunków owocowych. Przy staranności wszystko rośnie szybko i odpłaca poniesione trudy, a przy zajęciu tak miłem nie trzeba szukać szczęścia za górami, wszędzie ono na nas czeka, byle je tylko dobrze zrozumieć i chcieć posiadać. Ziemia leżąca odłogiem, zaniedbana opuszczeniem odstręcza tak jak zaniedbane dziecię, choćby było najpiękniejsze litość więcej niż miłość dla siebie obudza. Zadrzewione, zakwiecone miejsca, mają zawsze pozór jakiś gościnny, jakby do spoczynku zapraszający. Takiego uczucia doznaje się tu w ogrodzie botanicznym i w ogrodzie aklimatyzacyjnym. I roślinom i zwierzętom i ptakom tam dobrze: wszędzie i na wszystkiem znać ciągłą i niezmordowaną rękę pilnej troskliwości. Ptactwo nawet z różnych krajów zebrane jakieś i gwarne i wesołe, a ptaki wodne jakby niby uszczęśliwione pływają po sadzawkach wijących się w rozmaite zakręty umyślnie dla nich urządzone. Zwierzęta sfer innych rozkosznie wyglądają przy tych malowniczych domkach umyślnie dla nich pobudowanych i na murawie wcale nie skąpo każdemu z nich wydzielonej. Nawet jedwabniki żyjące to na morwach, to na rycynusie, to na dębinie, miłą rojną przedstawiają gromadę i co szczególniej zadziwia, że na dębinie są najładniejsze co do koloru jasnozielonego i ubrania jakby tkanego w srebrne pręgi. Jedwabniki te dają wiele bardzo jedwabiu grubego, którym w Chinach odziewa się kilka milijonów ludzi. U nas gdzie tyle dębów, czy niedałby się ten gatunek z pożytkiem przyswoić? Kury i kaczki mieszkające w oddzielnych jakby chatkach, znajdują się w najrozmaitszych gatunkach; między niemi są kaczki i kury polskie. Ale zupełnie inne wrażenie robią kury sztucznie karmione w tymże ogrodzie w zakładzie pana Martin. Każda taka kura siedząca w osobnej przegrodzie, przywiązana pod skrzydłami i przypięta łańcuszkiem do ścianek, czeka tylko chwili aby ją nakarmili, co się dopełnia w ściśle oznaczonych godzinach. Wtedy wlewają jej do gardła za pomocą pompy mieszaninę płynną z mąki kukurydzowej, jęczmiennej i mleka zrobioną, co po trzech tygodniach już ją bardzo tuczy, ale zgrabna i ruchliwa kurka przybiera automatyczny pozór. Przedsiębierca dobrze na sprzedaży takiego drobiu wychodzi, aparat zaś na dwanaście sztuk kosztuje bez przysyłki 65 rubli i podobno dość jest rozkupywany.

W ogrodzie aklimatyzacyjnym odbywają się spacery na słoniach, konikach, w wózkach zaprzężonych zebrami, strusiami, na wielbłądach i dromaderach które są radością dzieci i nawet dojrzałych osób. Te przejażdżki bardzo się zajmująco i malowniczo przedstawiają, a gdy obok tego daje się słyszyć wyborny koncert pod dyrekcyą pana Mageur, to już milszej rozrywki znaleść trudno. Największym jednak z takich ogrodowych koncertów, był ostatni na korzyść zatopionych dany w ogrodzie Tuilleryjskim przez wszystkie stowarzyszenia muzyczne paryzkie. Stowarzyszenia Orféonu czyli śpiewaków chórzystów śpiewały chóry i hymn o Miłosierdzie umyślnie na ten dzień ułożony: najładniej się jednak wydał chór Żołnierski i Kowadło.

Muzyki także wiele ładnych rzeczy grały: każde stowarzyszenie niosło swoją chorągiew, bogatą i ozdobną, na której były rozwieszone uzyskane medale, i wypisane złotemi literami albo srebrnemi daty założenia. Pan Saint-Felit miał mowę do zgromadzonej publiczności aby suto sypnęła groszem na wsparcie zbiedzonych rodzin, na co chętnie odpowiedzieli

czynem zgromadzeni. W imię miłosierdzia, w imię dobrego uczynku złączyły się wszystkie towarzystwa muzyczne paryzkie po raz pierwszy od swego istnienia, mówca więc wyraził życzenie, aby tak wszystkie niezgody na świecie w imię ludzkości zgodnie się kończyły. Czyż może być coś więcej pożądanego?

Koncert Tuilleryjski składał się z 6000 osób wykonywujących koleją chóry lub kompozycye muzyczne. Słuchaczy było 37,098, a dochodu 27,000 franków. Badając przyczyny tych częstych wylewów i strasznych spustoszeń ztąd wynikających, zgodzono się, że najgłówniejszym tego powodem jest brak lasów po górach sąsiadujących z rzekami. Kiedy nastają ulewne deszcze, wody nie wsiąkają w zeschłą, nieprzemakalną ziemię i pędem zlatują z gór, powiększając raptownie i tak wielką masę wód w rzekach. Przeto zasiewanie lasów uznane zostało za najlepszy sposób zapobieżenia fatalnym klęskom. Właściciele ziemi i rząd mają się tem gorliwie zająć.

I. Ż.

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

Matka milczała, żal syna formułował się coraz dobitniej, przechodził w wyraźne wyrzuty. Nie chciała i nie mogła się z nim sprzeczać, dalsza walka słów w tym względzie była dla niej zupełnie niepodobną. Serce jej ścisnęło się gwałtownie; więc taki był owoc starań, trudów, miłości i nadziei. Mąż jej miał słuszność, Bóg nie pobłogosławił ich na dziecku. Feliks nie tylko porzucił drogi wytknięte mu przykładem rodziców ale zaszedł na manowce; pomiędzy niemi przepaść zwiększała się z dniem każdym aż wreszcie jutro mogło uczynić z nich wrogów. Od skrytych wyrzutów do jawnej niechęci jest krok tylko. Złocicowa pojmowała to dobrze. Dla tego też pochyliła w milczeniu głowę na piersi i dwie gorzkie łzy, ciężkie jak ołów, spłynęły jej zwolna po twarzy.

Syn ich nie widział, on nadto był zajęty wyliczaniem mniemanych krzywd wyrządzonych mu przez rodziców. Bo i czemuż oni nie zdobyli sobie tego wszechwładnego znaczenia potęgi — pieniądza, czemu nie osypali nim drogi jego a tem samem skazali go na pracę do której nie czuł się stworzonym?

Teraz zaś dla czego posuwali tak daleko egoizm, iż nie chcieli podać mu ręki do spełnienia zamiarów i pogrążeni w przesądach potępiali go jeszcze. To już było istną tyranią, a zresztą oni potrzebowali tak mało a on tak wiele, kochając go powinni byli to zrozumieć, i nie wahać się poświęcić mu, nie tylko nawyknień swoich ale zasad i woli.

Feliks więc oburzony tem, co nazywał uporem matki, powstał nie dostrzegając wcale jej łez, nie domyślając się jakie sprawił jej cierpienie. Przechadzał się wielkiemi krokami po ganku, a znalazłszy otwarte drzwi do kwiatowego ogródka, deptał nieuważną stopą wiosenne stokrocie i fijołki, gdy nagle doleciał go głos ojca.

— Feliksie uważajże na kwiaty twojej matki.

Wówczas dopiero zatrzymał się zawstydzony i zrozumiał zrządzoną szkodę.

Złocic wracający z pola zatrzymał się przy ogródku i dostrzegł z jednej strony syna mszczącego się za swoje niepowodzenie na niewinnych roślinach, z drugiej żonę, która chociaż łzy otarła, nie mogła przywołać na twarz maski wesela i spędzić wysileniem woli troski ciążącej na czole. Nie trudno było starcowi odgadnąć przyczynę.

— Feliksie — zawołał — ty zasmuciłeś matkę.

W głosie jego drżał wyrzut, syn jednak się nie upamiętał. Rozpieszczony jedynak przywykły rachować na nieograniczoną miłość rodziców, oburzony rozpamiętywaniem krzywd mniemanych, odparł hardo:

— Nie moja wina ojcze, powiedziałem tylko mamie że chcę się żenić a mama wzięła to do serca.

Złocic spojrzał surowo na syna.

— Czy myślisz wyrzekł, że ja rozsądzać będę pomiędzy tobą a matką.

Młody doktór niechętnie spuścił wzrok pod ostrą naganą ojca, wrócił pomału na ganek i jak gdyby ulegając przemocy moralnej, zbliżył się do matki i pocałował ją w ręce.

— Więc ty chcesz się żenić Feliksie? spytał po chwili starzec.

— Tak jest mój ojcze, czy masz co przeciw temu?

— Nie mój synu, zadam ci tylko pytanie, jakie już raz uczyniłem kiedyś obierał sobie zawód doktora: wówczas spytałem cię czy kochasz naukę której chcesz się poświęcić: dziś zapytuję czy kochasz kobietę którą chcesz poślubić.

Było to pytanie proste jak całe życie Złociców, a jak cały ten cichy świat serdeczny, nie zrozumiałe dla Feliksa.

— Mój ojcze, odparł z mimowolnem zmieszaniem, tu nie chodzi o miłość.

— Przeciwnie Feliksie jest to najważniejsza kwestya życia. Na ziemi ten tylko jest szczęśliwy, kto cośkolwiek oprócz siebie ukochać zdoła, martwy przedmiot lub istotę ludzką, ideę lub naukę. A ja lękam się o serce twoje i dla tego to podobno wszędzie ci źle i ciasno.

Młody doktór słysząc to zdanie tak sprzeczne ze światową mądrością którą był napojony, uśmiechnął się w duchu i chciał odpowiedzieć jedną z tych utartych formuł które wygłaszał przed matką, przecież nie uczynił tego; ojciec wzbudzał w nim rodzaj szacunku, panował nad nim siłą pogodnego ducha, mógł się zżymać w cichości na jego surowe zasady, nie śmiał mu jednak wprost zaprzeczać. Starzec zdawał się odgadywać tajemne myśli jego i dlatego mówił dalej:

— Są ludzie wiem o tem, co chcieliby wymazać z życia ten pierwiastek, co znajdują że wygodnie obejść się bez niego można. Nie wierz im Feliksie, oni się mylą, kochać należy do pierwszych najracyonalniejszych potrzeb naszej istoty, bez miłości nie ma zdrowej myśli, nie ma wielkiego czynu, słowem nie ma człowieka. Wzbogacamy się moralnie nie negacyą ale rozwojem pierwiastków w nas złożonych biada tym co tego pojąć nie umieją, bo na drodze życia czekają ich same zawody.

Złocic mógł mówić długo, wzrok jego zapałał się od słów wymówionych a żona słuchała go ze złożonemi rękoma. Snać mówił to w co oboje wierzyli i potrafili w czyn wprowadzić. Ale spotkał wejrzenie Feliksa i umilkł nagle.

On także był głęboko smutny i zniechęcony, w obec syna czuł się bezdzietnym. Jest to boleść z niczem nieporównana.

— Widzę, wyrzekł znowu po długiej chwili ze spokojem wymuszonym wolą, iż pod tym względem jak i pod wielu innemi nie zgadzamy się z sobą. Jesteś człowiekiem Feliksie, nie mam prawa narzucać ci przekonań moich, pamiętaj tylko że one dały mi żywot szczęśliwy i starość pogodną, a to coś znaczy. Ufam iż bez skazy przetrwałem próbę bytu, mogę oczekiwać śmierci bez trwogi. Daj ci Boże ażebyś kiedy staniesz tam gdzie ja stoję i obejrzysz się za siebie mógł to samo powiedzieć. A teraz mów mi o zamiarach swoich, dodał zmienionym głosem, będę się starał cię zrozumieć.

Usiadł na ganku obok żony, wsparł się oburącz na lasce i utonął wzrokiem w spokojnym widoku rozciągającym się z tej strony. Widok ten nie miał żadnej osobliwszej piękności: przed domem ciągnęły się pola pokryte wschodzącemi zbożami, rozmaitych odcieni zieloności; na piaszczystym pagórku wznosił się wiatrak, a czerniejące w dali lasy zamykały horyzont. Ale na ten widok Złocic patrzał od lat trzydziestu przeszło co dnia, co chwila, z nim łączyły się wszystkie dobre i złe wspomnienia jego życia, odnajdywał tu niejako dawne myśli, dawne uczucia i te chórem powracały z przeszłości budząc w nim zamierzchłe już pamiątki. Tutaj za dni młodości marzył o ukochanej, tu wprowadził ją jako żonę, tutaj spoglądali razem po raz pierwszy na zachodzące słońce a on zdawał się czytać w blaskach jego odbicie namiętnych uczuć. Tu siadywał nieraz z jedynakiem swoim na kolanach, tu powtarzał mu nauki— zapomniane, roił nadzieje—nieziszczone.

Więc ten powszedni widok dla niego miał swoje czary: w lecie po dniu pracowitym zasiadał w tem miejscu coraz dłużej gwarząc z przeszłością, w zimie wpatrywał się w płaszczyznę śniegiem pokrytą a martwa natura pod mroźnym całunem zarówno jak w wiosennej szacie przemawiała do niego.

Złocic powiedział wprawdzie synowi: „mów mi o zamiarach twoich." A jednak rzecz ta nie okazała się tak łatwą jak sądzić można; Feliks nie miał stale określonych zamiarów, miał pragnienia tylko, tu zaś jedynym celem jego podróży było uzyskanie pieniędzy. Probował więc jak najoględniej przedstawić ojcu swoje żądania.

Nie spotkał w nim oburzenia ani serdecznych wymówek, starzec od dawna obrachował młodego doktora i wiedział dobrze czego się mógł po nim spodziewać, wszystko to więc co usłyszał nie zdawało mu się wcale nowością, nawet prośba o zasiłek pieniężny. Dla tego też odparł ze zwykłym spokojem:

— Pomógłbym ci chętnie mój synu, nie wchodząc wcale w powody twoich potrzeb gdyby to było możebne. Ale wiesz sam najlepiej, bo nigdy nie taiłem się z niczem przed tobą, że zapasy zebrane kilkunastoletnią oszczędnością poszły na twoją naukę. O chlebie powszednim nikt bezkarnie zapominać nie może, dziś powinieneś na niego już umieć zapracować.

Feliks mógł spodziewać się tej odpowiedzi, była ona zupełnie jednobrzmiąca z odpowiedzią matki, przecież niezrażony tem mówił dalej:

— Sądziłem iż w tym wypadku, przy dobrej woli ojca, znalazłaby się rada, pomyślałem nawet o tym bogatym sąsiedzie, co ma dla ojca tak wielkie obowiązki.

— Mówisz o Salezym Drobińskim.

— Tak mój ojcze.

— Chcesz bym wyzyskiwał przysługę, jaką wypadkiem wyświadczyć mu mogłem.

— Dla czegożby nie?

— Omyliłeś się Feliksie, ja tego uczynić nie mogę.

Złocic powiedział to stanowczo, ale Feliks nie przekonany jeszcze podniósł oczy na ojca jakby nie zupełnie wystarczało mu to tłomaczenie.

— Dla czegoż? zapytał.

Starzec uśmiechnął się z pewną goryczą.

— Najprzód, przez całe życie nie potrzebowałem nigdy nic od nikogo, a potem żądać przysługi jest to dać dowód wielkiego szacunku, a ja nie szacuję wcale Salezego Drobińskiego.

— Wszak ocaliłeś mu życie, z narażeniem siebie.

— I cóż ztąd? Zatrzymałem zbiegane konie lecące pod koła lokomotywy dla tego, że wypadek postawił mnie na jego drodze, to nie obowiązuje mnie do niczego.

— Obowiązuje to jego mój ojcze.

— Nie zrozumiałeś mnie Feliksie, przysługę powinniśmy oddać każdemu bez wyjątku, żądać jej możemy tylko od niektórych.

— Cóż wreszcie uczynił tak złego Drobiński.

— Nie myślę roztrząsać jego życia, odparł Złocic z pewną dumą, to do nas nie należy. Ale nie szukając daleko, człowiek ten z wielkiemi środkami jakie ma w ręku, nie uczynił nigdy nic dobrego: choćby dla tego samego już szacować go nie mogę.

— Z pewnością ojcze on by ci nie odmówił pożyczki.

— Nie byłem żebrakiem i nie będę nim, nawet dla ciebie Feliksie.

Młody doktór umilkł przygryzając wargi, znał ojca, wiedział że słowo jego było nie odmienne. Przez chwilę na ganku dworku trwało milczenie, przerywane tylko niekiedy odgłosem wozów wracających z pola, lub rykiem bydła śpieszącego pod strzechę. Myśl Feliksa skierowała się widać ku innym przedmiotom, bo po kilku minutach zaczął znowu rozmowę krążąc jednak zawsze około jakiejś tajemniczej osi.

— Więc ten Drobiński tak bardzo bogaty?

— Bogaty ale cóż nas cyfra jego majątku obchodzić może.

— Wszak on jest bezdzietny.

— Bezdzietny, odparł Złocic, wpatrując się w syna i cóż ztąd.

— Nic mój ojcze, zapytałem bez planu.

— O ile cię znam Feliksie, ty nic nie czynisz bez planu.

Syn zarumienił się mimowolnie.

— Rzeczywiście, odparł po chwili wahania w której uznał zapewne szczerość za dobrą politykę, znam jego krewnych w Warszawie.

— Czy ojciec nie wie, spytał znowu, na kogo spadnie jego majątek?

— Nie wiem, cudze sprawy obchodzą mnie mało, a szczególniej sprawy tego rodzaju. Jeżli mam wszystko powiedzieć majątek ten ma zły początek. Salezy Drobiński skrzywdził niegdyś małoletniego sierotę nad którym miał opiekę, skrzywdził rodzonego brata, dozwolił krzywdy synowicy!....

— Jakże to wiesz mój ojcze.

— Znałem niegdyś Stanisława Olskiego, tak się nazywał sierota pozbawiony całego mienia przez Drobińskiego; dowody rozproszone były po świecie, pracował na życie, proces drogo kosztuje, rozpoczął go jednak. Później ożenił się z synowicą swego niegdyś opiekuna, który nigdy tego biednej kobiecie darować nie mógł. Straciłem ich z oczu—szkoda, byli to zacni ludzie.

Szczegóły te mniej już obchodziły Feliksa, przecież słuchał ich chciwie obliczając w duchu iż prawdopodobnie cały majątek Salezego dostanie się w spadku rodzicom Eligji. Trzeba było tylko korzystać z chwili i ożenić się zanim wielki spadek nie podniesie widoków rodziny Drobińskich a tem samem nie zniweczy nadziei młodego doktora. Był on więc w trudnem położeniu; przecież nie wątpił o przyszłości i pomimo nieczułości ojca i matki snuł dalej swoje plany, rachując na swoją zręczność, na szczęśliwą gwiazdę o której nikt nie wątpi w latach dwudziestu kilku, a szczególniej na piękną urodę.

Powiedzieliśmy już że Feliks był ładnym chłopcem, rzeczywiście posiadał tę powszednią kształtność rysów i harmonię barw, stanowiącą wdzięk powierzchowny, natura obdarzyła go szczodrze przymiotami ciała, ale on do nich nic nie dodał z wewnętrznej skarbnicy. Oko jego nie jaśniało głębszą myślą a rysy nie kształtowane wyrazem, nie ożywione szlachetnemi popędami zapewne powoli traciłyby swoją piękność, coraz bardziej odpowiadając istotnej treści człowieka: piękność będąca tylko owocem wypadku, z dniem każdym musi znikać z twarzy. Tego jednak Feliks nie pojmował wcale, i dla tego był najzupełniej z siebie zadowolony.

Czas wlókł mu się leniwo w dworku rodziców, wszystkie nici łączące go z tym światem cichym pękły od dawna, czuł się obcym tutaj, i dla tego zaledwie zabawiwszy dzień jeden pod pozorem pilnych zajęć wyjechał do Warszawy. Niezatrzymywano go, ojciec i matka widzieli dobrze iż to było daremnem.

Ale gdy te same konie, które przywiozły go od kolei, odjeżdżały z nim raźnym kłusem, oboje stojąc na ganku odprowadzili go wzrokiem do zakrętu drogi, a kiedy zginął im z oczów, spojrzeli na siebie z cichym smutkiem. Byli sami w obec starości, nawet myśl syna odwracała się od nich, nawet wspomnienie jego nie zostawało z niemi.

— Adamie, szepnęła kobieta, wspierając się na mężu, straciliśmy go, stracili na zawsze.

On spojrzał w łunę zachodzącego słońca rozpostartą na niebie z nieugiętym wyrazem.

— Któż odgadnie przyszłość, wyrzekł zwolna.

— Więc ty masz nadzieję, więc sądzisz że on powróci do nas? zawołała skwapliwie.

— Maryniu ja wierzę w sprawiedliwość i w prawdę, a nadzieja ta musi przetrwać życie. Wierzę iż kiedyś w jakiej czarnej godzinie, dworek ten z obrazem rodziców jak promień słoneczny powróci do pamięci Feliksa, chociaż ty i ja może nie doczekamy tego.

— Wczarnej godzinie, powtórzyła, dla czegożby on miał cierpieć?

— Bo idzie fałszywą drogą i musi spotkać cierpienie, bo w niem jednem jest moc uleczająca dla tych co wgłąb własnego serca zajrzeć nie chcą. Ja nie mogę wierzyć by dziecko nasze było niepowrotnie zgubione. Nie ma nic daremnego na świecie, więc i miłość nasza daremną być nie może.

Kobieta oparła głowę na jego ramieniu i ciche łzy płynęły z jej oczów.

(d. c. n.)

CZŁONEK KOMITETU ZABAW,

LISTY Z TANNEBURGA

przez

Schpielhagena.

(Ciąg dalszy).

Tanneburg 8 lipca.

List twój, rozsądny mój przyjacielu, nie zastał mnie bynajmniej, jak przewidujesz, „w usposobieniu przygnębionem, co jest zwykłem następstwem krótkiego i gorączkowego odurzenia.” Nie widzę wiec potrzeby czytać twego kazania o swojej grzesznej próżności ze skruszonem sercem.

Nie, nie poczuwam się wcale do winy. Ona zasłużyła na to.

Byłem przecie tak poważnym całe życie; sam to mi nieraz powtarzałeś, a teraz wyrzucasz mi że się bawię, że jak w maskaradzie ukrywam prawdziwą twarz swoją pod maską, która nawet tak przenikliwych ludzi jak dr. Kühleborn zwodzi; wierzy on zupełnie w moje nawrócenie. Bankier Marcus zaś nie może pojąć, gdzie on i w ogólności wszyscy mieli oczy, gdy mnie, w pierwszych dniach mego tutaj pobytu, mizantropem, odludkiem i nie wiem czem jeszcze nazwali.

Zresztą, kochany przyjacielu, nie omyliłem się wcale; ona sama ułożyła ten plan, dowiedziałem się wszystkiego od Marcusa.

Pan Marcus i ja jesteśmy przyjaciołmi od kilku dni. Przyjaźń nasza jest, że się tak wyrażę, zobopólnym interesem. On jest jeszcze bardzo młody, bardzo dobrotliwy, i opowiada z naiwnością niezrównaną. Zaraz pierwszego dnia zwróciła wszystkich uwagę na moje milczące usposobienie i odosobnianie się; Marcus uważa iż to zapewne z niezadowolenia że się do niej nie starałem zbliżyć.

— Gdyż ona przywykła do hołdów — dodał niejako usprawiedliwiając się — i tutaj też każdy śpieszy na jej usługi.

Zaraz na drugi dzień przezwała pana: le noiz fuiniant!

Dowcipne porównanie ze szkockiego romansu. Później, przypominasz sobie ten wieczór, kiedyśmy właśnie rozpoczynali kontredansa, a sam wyszedłeś zostawiając ją bez tancerza. Przyznaj że było to bardzo niegrzecznie z twojej strony szczególnie kiedy teraz wiemy jak dobrze tańczysz. Byliśmy wszyscy oburzeni. Nazajutrz siedząc w ogrodzie naturalnie że rozmawialiśmy o tobie. Jest jedna tylko kara dla niego, rzekła nagle panna Antonia, przez szykanę musimy go uczcić za talenta i zasługi, których wcale nie posiada. Zrobimy go członkiem komitetu zabaw. Ktoś zrobił uwagę, że niewiadomo jakbym ten żart przyjął; uparła się przy swojem — jej życzenie jest dla nas rozkazem. Przyrzekliśmy. Ja sam rozdałem ze trzydzieści kartek z pańskiem nazwiskiem.

Widzisz że opłaci się mieć przyjaźń pana Marcusa tembardziej więc jest mi przyjemnie, że i on również potrzebuje mojej. Gorące serce młodego milijonera jest przepełnione uwielbieniem dla pięknej Toni. Jest tylko wtedy zadowolony i szczęśliwy, kiedy może o niej mówić; pisze dla niej wiersze, które ja poprawiać muszę. Jestem powiernikiem jego radości, częściej zaś żalu i smutku, szczególnie teraz, gdy za kilka dni ma tu przybyć jego kuzynka z którą jest prawie zaręczony; przynajmniej rodzice życzą sobie żeby miliony familji Marcusów połączyły się.

Z przerażeniem myśli o przeszkodach, jakie się w około niego gromadzą, mówiąc że jest najnieszczęśliwszy z ludzi. Staram się pocieszać go; przypominam mu Leandra i Hero, Tezeusza i Aryadnę i inne heroiczne kochające się pary. Pytam, czy nie ma odwagi przepłynąć morza przeszkód dzielącego go od ukochanej? Przysięga że jest przygotowany na wszystko; podniecam ogień ten będąc przekonany, że nie sparzy nawet palców nikomu. Pan Marcus jest zamądry żeby romansową mrzonkę zapłacić miljonem; panna Tonia zaś, jak każda zalotna młoda osoba, więcej dba o wywołanie uwielbienia, jak o wielbiciela, szczególnie gdy ma tak wielki wybór. Dla tego też pilnie się wystrzegam, żeby nie zdradzić uwielbienia, którem jestem przejęty dla tej uroczej istoty. Oddaję się tylko swoim obowiązkom; jestem niezmordowany w różnych pomysłach; urządzam spacery, zabawy, a jeżeli tak wypadnie, że jesteśmy razem, rozmawiam więcej z jej ciotką niżeli z nią. Ciotka jej jest to poważna, pięćdziesięcioletnia blisko matrona, żyje z procentu i ubóstwia a raczej zupełnie psuje siostrzenicę i przybrane dziecko swoje gdyż rodzice jej wcześnie umarli. Zresztą dobra ta kobieta nie jest ani uczoną ani geniuszem i zdaje mi się, że to czasami pannę Toni cokolwiek upokarza.

Ulubioną myślą szanownej ciotki jest, żeby jej pie-

szczotka miała miejsce sobie poświęcone, również jak wszystkie Marye, Elizy, Lili, Franety, które mają w okolicznych górach, każda z osobna, swoje źródła drzewa, łączki. Pan Marcus z zapałem podjął tę myśl i tak uradziwszy we dwoje, obrali miejsce u stoku góry, prześliczną łączkę ocienioną staremi drzewami, zkąd pyszny widok na zamek i wieś. Miejsce to panna Toni często za cel samotnych przechadzek obiera, postanowili więc przy nadchodzących jej imieninach, umieszczeniem kamienia z odpowiednim napisem łączkę tę uroczyście uświęcić. Dzisiaj gdyśmy tamtędy ze spaceru wracali, powierzył mi p. Marcus tę tajemnicę.

Uznałem że pomysł jest świetny, ale pozwoliłem sobie zrobić uwagę, że przy tej sposobności należałoby urządzić prawdziwą uroczystość, ażeby królowej zebrania ogólny hołd i uwielbienie okazać. Zaproponowałem więc aby muzykę z miasta sprowadzić; urządzić fajerwerki w dolinie, iluminacyę zamku, w końcu bal i tańce. Pan Marcus z radości o mało mnie nie udusił. Nagle uderzył się w czoło wołając:

— O ja nieszczęsny! zapomniałem prawie o tem! Przecież moja kuzynka nazywa się także Toni, i najdalej za trzy dni przybędzie tu. Cóż teraz począć?

— Nic — odrzekłem starając się wszelkiemi sposobami zachować powagę — cała ta sprawa powinna pozostać, jak dotąd tajemnicą. Czy kamień z napisem obstalowany.

P. Marcus zamówił sam u znajomego sobie rzeźbiarza prześliczną marmurową płytę; kosztowała go przeszło sto talarów.

— Dobrze — powiedziałem — to główna rzecz. Resztę jako członek komitetu biorę na siebie. Nikt do ostatniej chwili nie potrzebuje wiedzieć o co idzie. Tem większa będzie niespodzianka.

Tak więc postanowiono i tak będzie; uroczystość ta odbędzie się 31 jako w ostatni dzień mego urzędowania. Czyż mógłbym lepiej zakończyć urząd ten jak uczczeniem młodej panny, której złośliwej swawoli go zawdzięczam? Sądzisz zapewne, że w całej tej sprawie jest trochę złośliwości z mej strony. Być może ale słodką jest ta zemsta. Przecież poruszyła całe zebranie, aby mnie wprowadzić, jak zapewne musiała przypuszczać w największy kłopot; mam więc zupełne prawo sprawić jej niespodziankę, nie pytając o pozwolenie. Zresztą przywykła do hołdów. Czyż nie mam słuszności?

10 lipca.

Jednak sam nie wiem, czy mam zupełną słuszność. Im dłużej Toni obserwuję, tem mniej wydaje mi się zalotną i płochą dzieweczką, za jaką ją początkowo miałem. Przy całej swojej żywości posiada jednak wiele serdecznego uczucia, a czasami i głębokiej powagi; nie rozumiem jakim sposobem nie spostrzegłem tego zaraz z początku. Zdaje się, jakby dwie dusze były w tej istocie, i powinienem jej być niejako wdzięcznym, że w obec mnie czasami ukrywa swoją płochą i swawolną naturę, ukazując mi się jako piękna i poważna Psyche.

I tak, dzisiaj wieczorem gdyśmy wyprzedzeni od innych, sami we dwoje ze spaceru lasem wracali, sam nie wiem jakim sposobem do rozmowy naszej wmieszała się ojczyzna moja i morze. Z zapałem, który mnie zawsze ogarnia ilekroć na ten temat wpadnę, odmalowałem jej piękność wschodu i zachodu słońca nad morzem; grę i muzykę cicho na gładkim brzegu przepływających fali, wspaniałą potęgę morskiej burzy. Długi czas szła obok mnie w milczeniu, nagle usłyszałem ciche łkanie. Zdziwiony zatrzymałem się pytając: co jej jest, czy przypadkiem mimowoli nie wywołałem smutnych wspomnień. Otarła prędko łzy spływające po twarzy i uśmiechając się: O nie, wcale nie, rzekła, ale ogarnia mnie każdą razą dziwne, niewytłomaczone wzruszenie, gdy słyszę, to jest, gdy ktoś tak jak pan teraz prawdziwie i naturalnie o morzu i o piękności natury opowiada.

Czyż to nie była przyjemna odpowiedź Bernardzie?

A więc i druga Toni już przybyła — nieprawdziwa, jak utrzymuje p. Marcus, okazała, czarnooka brunetka, która o ile mi się zdaje, wielką miałaby ochotę, odebrać palmę pierwszeństwa swojej błękitnookiej imienniczce. Zjawienie się jej wywołało wiele sądów w naszem towarzystwie. Na Jowisza! Co za postawa i co za toaleta! Biedny Marcusie, cóż poczniesz teraz! Coś mi na to wygląda, jakoby krewni twoi dobrze wiedzieli, że jesteś potrosze bałamutem, i że nie należy nadal pozostawiać ciebie samego. Niewdzięczny Marcusie! Tę drogocenną perłę śmiałeś zapomnieć! Czy i teraz jeszcze odważysz się nazwać ją „nieprawdziwą!“ Przyznaj, szlachetne twe serce jest podzielone na dwoje: z jednej strony pełna, czerwona róża, która niczego bardziej nie pragnie, jak z całym swoim milijonem na twej wiarołomnej piersi spocząć; z drugiej, biały pączek między ostremi cierniami, do którego z trudem torować sobie drogę musisz! Ale jesteś przecie prawdziwym rycerzem! Wiernym damie, której przysiągłeś! Tylko swobodna i niczem nie krępowana miłość jest prawdziwą. Pokaż żeś mężczyzna; albo lepiej nie pokazuj „nie prawdziwej Toni“ poezyi, któreś dla „prawdziwej“ wyśpiewał! Mógłby przyjść dzień, w którym pożałowałbyś tego!

Bez żartu, Bernardzie, śmiesznie wygląda nasz milijoner, gdy na wzór motyla z jednego na drugi kwiatek polatuje, nie znajdując nigdzie spokoju. Unika starannie kontroli, którą otyła rodzicielka kuzynki widocznie nad nim rozciąga; pochlebia mu podziwienie, jakie okazałej piękności tutaj okazują; prawdopodobnie i pośpiech z jakim te panie podążyły za nim budzi jego miłość własną, ale przychodzą znów chwile gdy boleśnie odczuwa krępujące go więzy. Wtedy z nowym zapałem popiera nasze plany co do imienin „prawdziwej“ Toni, sam jeździ do miasta, zamawia muzykę, fajerwerki. Pomagam mu w tych zajęciach, ale także tylko połową serca.

(d. c. n.)

LIST SZÓSTY

DALEKI ZACHÓD

w Ameryce północnéj

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Rząd Stanów Zjednoczonych pragnąc aby okolica dziś tylko stadami bawołów zapełniona i służąca Indyanom za rodzaj naturalnej fortecy, z której wypadają aby pustoszyć ludniejsze okolice, przeszła w ręce ucywilizowanych ludzi, zamyśla, jak mówią, wyłożyć olbrzymią summę na przeprowadzenie długiego kanału od południa gór do rzeki Missouri. Każdy korzystający z wody kanału, na cele irrygacyjne musiałby opłacać pewną kwotę, byłaby to więc i użyteczna i korzystna spekulacya.

Willjam znający doskonale te okolice, opowiadał nam o wielkich polowaniach na bawoły, w których nieraz brał udział, i pokazał parów tuż obok drogi żelaznej, w którym odrazu zginęło więcej jak tysiąc tych kosmatych synów stepu.

Kilku jeźdźców i kilka strzałów do tego stopnia spłoszyły całą trzodę, iż puściwszy się cwałem, nie zdołała zwolnić biegu nad brzegami przepaści. Bydło pozostałe z tyłu, parło na towarzyszów biegnących z przodu, bawół po bawole spadał na dno przepaści, i taka ich tam stoczyła się liczba, iż wyziewy z tych ciał długo bardzo zatruwały powietrze w tej okolicy.

Z powodu późnej już pory roku, nie mogliśmy mieć nadziei spotkania stada bawołów, w ciągu naszej podróży u podnórza gór Skalistych. Lecz jako obywatel Rzeczypospolitej, osiadły na pograniczu stepów Dakoty, nieraz bezwątpienia znajdę sposobność przyłączenia się do obławy na bawoły, o skutku których nieomieszkam was zawiadomić.

W Greley opuściliśmy kolej, i na mułach najętych zwróciliśmy się ku górom Skalistym, w kierunku tak zwanego Nord-Parck, 8,000 stóp wysokości mierzącej góry — pochód zaś w tę stronę wypadł nam z powodu iż Detektif otrzymał w Greley odpowiednie wiadomości o złodziejach.

Po sześciogodzinnej podróży, zaskoczyła nas burza północno-zachodnia, a daleko jeszcze było do *ranezy* czyli futoru w którym chcieliśmy zanocować: muły też nasze szły bardzo wolno, bo zmęczonemi były niepomiernie.

Ileż to razy przyrzekałem sobie iż ani konia górskiego a tem mniej muła nie dosiędę, gdyż mnóstwo z temi upornemi stworzeniami przeszedłem już kłopotów.

Pomnę, jak wyrostkiem jeszcze, towarzyszyłem Karolowi Brzozowskiemu poecie w jego podróży po Turcyi. Odsyłano mnie raz do szpitala w Salonice utrzymywanego przez Siostry miłosierdzia, konającego prawie na febrę, przykrępowawszy mnie do samary, czyli olbrzymiego siodła, używanego tam do przewożenia towarów, na wielkich tamtejszych mułach.

Uparta bestya przelękła się wtedy jakowejś tam drobnostki leżącej przy drodze, i ni ztąd ni zowąd, porzuciła żandarmów (szanszów) towarzyszących mi, i pędząc w szalonych podskokach przez wzgórza i gęstwiny, wróciła do Dramy, miasta z którego wyruszyłem przed kilku godzinami.

Szalony zwierz zatrzymał się dopiero na podwórzu kajmakana (gubernatora) wraz ze mną, poranionym niemiłosiernie. Poznałem wówczas dobroć serca niektórych Turków, a wspomnienie owego kajmakana i troskliwość jego o mnie, nie zatrą się nigdy w mej pamięci. Zacny ten człowiek we własnym domu pielęgnował mnie aż do zupełnego wyzdrowienia.

Pomimo burzy i powolności mułów, dotarliśmy przecież do owej ranczy, złożonej z kilku zaledwie chat, z głazów granitowych ułożonych bez wapna i pokrytych słomianym dachem. Zgraja psów wypadła z jednej chaty i otoczyła nas dokoła, zagłuszając swem szczekaniem nasze wołanie by nam otworzono.

W końcu wyszedł człowiek jakiś z latarnią naftową; przy migocącem jej świetle z powodu wiatru, dostrzegliśmy kudłatą jego głowę i czarne lica murzyna. Zrozumiawszy czego żądamy, pokazał nam słomianą stajnię i pustą chatę. Owsa, kukurydzy a nawet siana dla mułów nie było w tej dziwacznej fermie.

— Cóż więc rodzi się u was? zapytałem zdziwiony.

— Czasem zbieramy trochę kukurydzy, tego zaś lata szarańcza zniszczyła i tę odrobinę.

— A z czegoż żyje twój chlebodawca?

— Jak wszyscy ranczerzy tak i on trudni się handlem; mając trochę bydła, mienia je bezustannie, a korzyść z tej zamiany wystarcza nam na wygodne utrzymanie.

Piękna mi wygoda pomyślałem.

Choć mułom zgłodzonym nic nie dostarczono, nam dostało się po odrobinie kawy i placków kukurydzowych, zwanych tu *corn-dodgers*. Placki te wtedy dopiero uważają za wypieczone, gdy tak stwardnieją przy ogniu iżbyś w nie nie wbił gwoździa ciężkim młotem.

Po tak skromnej wieczerzy udaliśmy się na spoczynek podłożywszy jeden worek gipsu pod głowę a drugi pod siebie. Śnieg zawiewał podłogę chaty, zimno, jakieś zwierzątka biegające po nas, szczekanie psów i skomlenie kojotów czyli szakalów, nie dało nam ani razu zmrużyć oka, tak, że o północy, opuścić musieliśmy posłanie skostnieli prawie od zimna.

Przez szpary w ścianach tyle nawiało śniegu że przynajmniej na sześć cali grubości pokrył podłogę i nasze kołdry. Owe zwierzątka biegające po nas w nocy, nie były to szczury, bo szczur europejski całkiem jest nieznany w tej okolicy, lecz małe pstre zwierzątka, zwane tu *goferami*, które jak nasze króliki ryją głębokie nory pod ziemią i kryją tam skradzione ziarno.

O wschodzie słońca, pomimo ciągle trwającej burzy opuściliśmy ranczę, gdzie za nocleg kazano nam zapłacić po pół dolara od osoby, i dążyliśmy wzdłuż rzeki Cache la poudre, aż przybywszy do jakiejś znów ranczy, detektif zatrzymał się i zażądał ode mnie 10 dolarów, a otrzymawszy je, kiwnął na jakiegoś myśliwego i szeptać z nim zaczął.

Banknot przeniósł się wnet do kieszeni owego człowieka, który kazał nam przysiądz iż nigdy nie wyjawimy zkąd otrzymaliśmy wiadomość o skradzionych koniach, poczem oznajmił iż dwa z nich znajdują się u krewnego złodzieja mieszkającego o mil kilka, najlepszego zaś sprzedano już i uprowadzono do Midle Parku leżącego na południu.

Detektif nie chcąc ściągać podejrzenia sąsiadów na naszego gospodarza, doradził nam abyśmy powrócili napowrót i ztamtąd dopiero wysłali policyę, wskazawszy jej gdzie są nasze konie. Tym sposobem złodzieje nie domyślą się w jaki sposób dowiedzieliśmy się o miejscu ich pobytu. Stosując się do jego rady zatrzymaliśmy się w domu trapera do końca burzy.

Bieda to z tym śniegiem i kurzawą. Burze srożące się tu zarówno latem jak zimą, pędzą przed sobą w porze letniej piasek i kamyki; grad tych pocisków bywa tak silny i gęsty, iż ani człowiek ani zwierzę nie zdoła iść obrócone twarzą ku niemu. Wiatr ten wysusza roślinność jak włoski sirocco: drewniane ściany domów, sprzęty i wozy, paczą się pod jego wpływem, dla tego trudno tu znaleść rzecz drewnianą a nie skrzywioną.

Burza przesiliła się dnia trzeciego, wróciliśmy więc do miasta, a zostawiwszy tam inżyniera utrudzonego podróżą, i poleciwszy policyi aby odebrała dwa odszukane konie, pojechaliśmy znów koleją omijającą Denver, a idącą do górniczego miasta Idaho leżącego w wąwozach gór Skalistych.

Mijaliśmy często prawie zupełnie opuszczone mieściny których ludność przeniosła się bliżej kopalni lub na żyźniejsze łany ziemi. Dziwnie wyglądają domy kamienne w gruzach, i gmachy z tarcic spaczonych chylące się do upadku, w okolicy gdzie dopiero od lat kilkunastu zjawił się pierwszy kolonista. Często jednak można spotkać taki widok w miejscach gdzie były kopalnie złota. W Australji miasteczko Lachlan zabudowane porządnie, wprzeciągu pół roku liczyło 20,000 ludności, a dokoła niego, na przestrzeni mili kwadratowej 100,000 osób szukało złota. W rok później pozostało w mieście tylko 300 mieszkańców, a w wyczerpanej prawie minie pracowało tylko 1,000 górników. Pozapadały się głębokie miny, dwupiętrowe domy zaczęły się rozsypywać w gruzy, a kędy biegły żyły złota, utworzył się spory strumień.

Podobne miasta choć na mniejszą skalę posiada Colorado i Wyoming, na ich miejsce wyrosły nagle główne punkta kolejowe, jak Cheyenne Greeley, Idaho, o prostych i szerokich ulicach, spore, schludne, pełne porządnych sklepów, wygodnych hotelów, ludności i ruchu. Nie opisuję ich bo wszystkie zbudowane, jak to mówią, na jedno kopyto. Gdyby podróżnego uśpiono w Council Bluffs, i zawiozłszy go o 150 mil geogr. na zachód, wypuszczono na ulicę w Cheyenne, nie uwierzyłby że zmienił miejsce pobytu. Też same nie brukowane ulice, przecinające rzędy domów z malowanych tarcic, też same gmachy z czerwonej cegły mieszczące banki, kościoły, składy towarów; tenże sam brak smaku cechuje wszędzie domy, bo mieszkańcy zachodnich stanów nie mają żadnego poczucia piękna, i budują nie dla oka lecz dla wygody.

Midle park (park centralny) słynie ze swych źródeł gorących siarczanych. Chociaż dolina mieszcząca źródła leży wysoko nad powierzchnią morza, klimat jej tak jest łagodny, że w zimie nawet znajdziesz tu chorych uczęszczających do kąpieli i pijących wody.

Jak we wszystkich kąpielach tak i tu bawią się nie źle; wolność przechodząca w swawolę w tej części świata, pozwala na gry hazardowne, zakłady wyścigowe i igrzyska, odpowiadające wpół dzikim zwyczajom mieszkańców.

Same góry przypominały mi i składem i kształtami łańcuchy Nowozelandzkie. Dzikie, nagie z wyjątkiem parowów w których zawsze zielone świerki, i garbate cottonwód tworzą gąszcz nieprzebyty. Nie ma tu prawie owego podgórza stanowiącego w Europie przejście od płaszczyzn do Alp, wybuchy podziemnych ogni napiętrzyły te szare igły na powierzchni stepu.

Dążymy pod górę pomiędzy tymi igłami, wzdłuż koryta strumyków i rzeczek które tyle tworzą łuków iż chcąc jechać w prostym kierunku, trzebaby co sto kroków wpław je przebywać.

Nie dojechaliśmy pierwszego dnia do Midle parku, i musieliśmy koczować wśród słoty na trawie. Amerykanie jadący razem z nami w tę stronę posiadali namioty, w nich przepędziliśmy noc okropną, gdyż drzewo było tak mokre że nie podobna było rozpalić ognia.

Nad ranem wyruszyliśmy w dalszą drogę, i dotarliśmy do doliny, która nazwę parku zawdzięcza swemu uroczemu położeniu; bo park ten nie ludzką lecz Boską stworzony ręką.

Na zachodzie dźwigały się śniegiem uwieńczone szczyty Kordyljerów Skalistych, na północy i wschodzie roztaczał się amfiteatr igieł Longs peak. Wyżyna parku przypominała kotliny szwajcarskie, lecz na stokroć obszerniejszą skalę. Ze wszystkich miejsc znanych mi w Ameryce, miejsce to najbardziej urocze z wyjątkiem Niagary.

Nazajutrz była niedziela, a że nam chodziło o odebranie konia nie od złodzieja lecz już od handlarza, nie chcieliśmy go niepokoić w święto.

Wilhelm z detektifem udali się do rzeki, opatrzeni w wędki, ja zaś dowiedziawszy się iż Indyanie z pokolenia Uty koczują o pół milki tylko od naszego obozu, udałem się do nich.

Ludzie owi twierdzili że i park i źródła miejsca na których stoją miasteczka i łaźnie, są ich własnością, gdyż nigdy nie odstąpili ich białym. Kobiet i dzieci było ze 200, mężczyzn widziałem tu tylko kilku, gdyż większość — jak zwykle — była na polowaniu.

Zanim opuściłem obóz, przedstawili mi się dwaj inni znowu naczelnicy — dziwiła mnie taka mnogość rządzców na tak małą stosunkowo ludność, i nie rozumiem dla czego tylu ich przybiera tytuł saszema? Wiem tylko że mają saszemów wielkich, średnich i małych.

Wracając do domu, przez gąszcz świerkowy, spotkałem dwie kobiety dzikie, młodą, ponętną, szczególniej też w tajniach zieleni owej — i zgrzybiałą od pracy, jaka tu zwykle zabija biedne te stworzenia; obie też uginały się pod brzemieniem przeróżnej zwierzyny, pomimo że obie były żonami jednego z saszemów, i obie mówiły trochę po angielsku.

Dałem im trochę pieniędzy i właśnie chciałem pożegnać, gdy ich mąż, a czwarty już ze znanych mi saszemów, wyszedł z gęstwiny i podejrzliwie spojrzał na mnie i na kobiety, a zobaczywszy pieniądze w ich ręku odebrał je natychmiast, potem przemówił coś cierpko do młodszej i odszedł z nią do wigwamu.

Gdy wróciłem do domu, zastałem już moich towarzyszów którym rybołóstwo świetnie się powiodło. Detektif nazajutrz wyszukał i odebrał naszego konia, a w parę dni później wróciliśmy do Greeley, gdzie z zadziwieniem dowiedzieliśmy się, że policya dopiero jednego konia odszukała, gdyż złoczyńca wyjechał gdzieś z domu na drugim, w tym właśnie dniu gdy do niego przybyli żandarmi.

Detektif przedsięwziął działać energicznie, zanim rodzina zdoła ostrzedz złodzieja. Najęliśmy więc wóz i dobre konie i udaliśmy się do Le port, mieściny utworzonej z chat zbudowanych naprędce przez przenoszących się wciąż z miejsca na miejsce robotników kolejowych.

Szeryf miejscowy, obierany przez ludność by czuwał nad porządkiem publicznym, wcale nie budził w nas zaufania.

Oprócz urzędnika przy telegrafach i kilku osób wykształceńszych, mogliśmy być pewni że cała ludność stanie prędzej po stronie złoczyńcy, zbogacającego ją łupem skradzionym w innych stronach, jakby nam dopomódz miała.

Detektif jednak nieulękniony takiem położeniem, zostawił wóz na dziedzińcu telegrafisty i we czwórkę udaliśmy się do salonu, w którym złodziej przepijał pieniądze; po drodze zaś wstąpiliśmy do szeryfa, który choć niechętnie, musiał pójść z nami.

Wszedłszy do szynku mieszczącego się w dwóch izbach i napełnionego na pół pijanemi ludźmi, pan Platt prosił gospodarza, by się udał do drugiej izby i oznajmił Edwardowi Hunter, iż jakiś gentleman życzy sobie kupić od niego konia.

Gdy Hunter wszedł, policyant i Wilhelm stanęli między nim a drzwiami których próg przestąpił — ja zaś z telegrafistą, broniliśmy wyjścia na zewnątrz, a szeryf bębnił tymczasem o szyby.

— Jak się masz, Ned? odezwał się do przybyłego detektif.

Złodziej domyślił się wnet że wpadł w łapkę, dobywszy więc rewolwer, zawołał:

— Nie poznaję żadnego z gentlemanów w tej izbie, nie wiem więc zkąd znasz pan moje imię.

— Daremne twe wybiegi, zawołał Platt, wiesz kto jestem i po co przybyłem, a dobywając rewolwer dodał: Jeżeli natychmiast nie oddasz broni i nie pozwolisz włożyć na siebie łańcuszków, jak psu w łeb ci wypalimy.

Cztery lufy wymierzone do niego kazały mu kapitulować, i gdy miał już na rękach kajdanki, jeden z jego przyjaciół dostrzegłszy przez na pół otwarte drzwi co się dzieje, wydobył rewolwer i wymierzył do pana Platta, ja zaś sądząc że chce zastrzelić Billa, zawołałem:

— Na Boga Billu, człowiek stojący za tobą chce strzelić.

Bill odwrócił się szybko i przez to zasłonił Platta, lecz kula ugodziła w jego piersi.

Pomimowolnie stałem się przyczyną śmierci najlepszego przyjaciela.

Po zranieniu Wilhelma zgiełk nastąpił straszliwy, detektif jednak trzymał złodzieja, szeryf prowadził rannego, my zaś zasłanialiśmy odwrót z szynku do domu telegrafisty; kilkanaście strzałów goniło nas w tej spiesznej rejteradzie, lecz bezskutecznie.

Kiedy opatrywano ciężką ranę śmiertelnie ugodzonego, policyi udało się złowić złoczyńcę, przy pomocy wielu mieszkańców, litujących się nad niewinną ofiarą; Wilhelm nie przemówił ani słowa od chwili gdyśmy go położyli na łóżku. Konając, trzymał rękę moją w swej stygnącej dłoni i gdy ostatnie wydawał tchnienie, zdawało mi się że uścisnął ją lekko.

Czyś mi wybaczył towarzyszu lat młodych!..

Rankiem już wczesnem, zrozpaczeni wszyscy wróciliśmy do Greeley z jeńcami, dla zdania sprawy sędziemu z całego tego wypadku.

Obu łotrów odstawiono do więzienia w Denver, a nas zobowiązano abyśmy jako świadkowie stawili się tam w Styczniu.

Konie sprzedaliśmy tu za pół darmo, gdyż długie te podróże pozbawiły nas większej części pieniędzy.

Ciało Wilhelma zawiozłem do domu, a niepowtórzę już wam co przebolałem sam, widząc rozpacz żony i rodziny nieboszczyka!

Spieniężywszy tu kilka, mniej potrzebnych drobiazgów, wróciłem do Nowego Ulmu, gdzie też zamierzam osiąść na długie może lata — tam to leżały w banku moje pieniądze — tam nabyłem też i wszystkie rzeczy do osiedlenia nowego przybysza potrzebne.

Do Nebraski nigdy już nie pojadę i nie stawię się w Denver, gdyż i beze mnie dosyć tam będzie świadków przeciwko zabójcy.

Samotny, żyjąc o milę od najbliższego sąsiada, siedzę i opisuję Wam przygody w Nebrasce. Wiatr stepowy wyjący na dworze, równie smętny jak uczucia przepełniające me serce!

Przegląd literacki.

Biblijoteka Warszawska.

Lipiec, Sierpień i Wrzesień.

(Dokończenie).

Z artykułów historycznych mamy rzecz o Dubrowniku—dawnej słowiańsko - włoskiej republice Raguzy —ciągnącą się przez dwa zeszyty. Przedmiot mało u nas dawniej znany, chociaż niedawno właśnie w tej samej treści obszerna praca, może i z tychże źródeł czerpana, była drukowaną w Gazecie Polskiej. Zresztą przedmiot dla nas dość obojętny: wolelibyśmy częściej spotykać się na kartach Biblijoteki z pracami historycznemi bliżej nas obchodzącemi, choćby nawet w braku prac oryginalnych, tak u nas widocznie w tej gałęzi piśmiennictwa dotkliwym, czerpanemi ze źródeł obcych.

Do takich utworów należy biografija Filipa Kallimacha, w zeszytach sierpniowym i wrześniowym, przekład pracy niemieckiej znanego badacza Zeissberga, któremu nie są obce ani język ani historya polska i który w tej biografji korzystał z wielu źródeł dotychczas nieznanych. Rzecz ciekawa i czyta się z zajęciem, chociaż należy wyznać, przekład tu i owdzie pozostawia wiele do życzenia.

Wiadomo że florentczyk Filip Buonacorsi, który według spółczesnej mody klasycznej, przezwał się z grecka Kallimachem, znaczną część życia spędził w Polsce za Kazimierza Jagielończyka i Jana Olbrachta, zmuszony uciekać z obczyzny w skutek obwinienia o udział w spisku na życie papieża Pawła II. O samem tem sprzysiężeniu, o stosunkach Kallimacha z dworem królewskim, ze słynnemi podówczas mężami: Długoszem, Grzegorzem z Sanoka i Oleśnickim, o poselstwach, które w imieniu królewskiem sprawował do Wenecyi i Konstantynopola, wreszcie o znanych radach, które Kallimach udzielał Janowi Olbrachtowi w celu stłumienia przewagi szlacheckiej, — o tem wszystkiem znajdujemy w artykule dosyć ciekawych szczegółów, choć mówiąc prawdę, najmniej właśnie o tym ostatnim okresie działalności Kallimacha, dla nas najważniejszym i najciekawszym. Prostuje autor panujące dotychczas pojęcia, według których Kallimach, przez wpływy szlacheckie został usunięty z dworu za owe szkodliwe rady i za to że doradził królowi pamiętną klęskami wyprawę bukowińską, w której jak mówi przysłowie historyczne: „za króla Olbrachta wyginęła szlachta.“ Zeissberg wykazuje, że Kallimach nie mógł być pociągany do odpowiedzialności za klęskę bukowińską, dla tego że zmarł 1497 r. przed ukończeniem wyprawy.

Mówiąc o głównem dziele Kallimacha „Historya Władysława III (Warneńczyka),“ autor znajduje że posiłkował się on przeważnie Długoszem, a w części i zaginionem dziełem Grzegorza z Sanoka, lecz zaprzecza przyjętemu przez niektórych naszych historyków literatury przypuszczeniu, jakoby była to właściwie praca samego Grzegorza, ze zmienionym tylko tytułem i nazwiskiem autora.

Zeissberg poświęca także krótką wzmiankę poezyom Kallimacha, układanym jak i wszystkie jego dzieła, w języku łacińskim. Widzimy już tu zaród, późniejszych nadętych panegiryków, pełnych wyszukanej erudycyi i dziwacznych zmyśleń: i tak np. ród Oleśnickich wyprowadza Kallimach od jakiegoś króla scytyjskiego. Ciekawe są poezye miłosne na cześć jakiejś Fanii Świętochny, wnuczki niejakiego Leszka z Bóbrki, która w Polsce serce Kallimacha uwięziła. Poeta nazywa ją już to wzorem wszelkiej doskonałości, już to istotą płochych obyczajów, a nadto co sam o niej podaje, nie wiemy nic więcej o tej osobistości. Ciekawy rys obyczajów epoki stanowi wzmiankowana przez samego Kallimacha okoliczność, że ilekroć bawił u swego przyjaciela Grzegorza z Sanoka w Dunajewie, tenże dla przypodobania się Kallimachowi, zapraszał zwykle na obiad i ową Fannią. Niemniej charakterystyczną jest wzmianka, że Grzegorz z Sanoka, biskup i mąż poważny, pisywał bardzo lekkie erotyczne wierszyki; zresztą Kallimach bijograf przyjaciela, zapewnia, że tylko jego pióro, nie zaś życie, bywało czasem lekkomyślne i w jednym z wierszyków zachęca go sam do wykazania zapałów miłosnych w praktyce.

W sierpniowym zeszycie znajdujemy bardzo ciekawą pracę p. Świeżawskiego p. t. „Przyczynek do studyów nad podaniem o Twardowskim“. Autor wykazuje tu naprzód, że szczególne nabożeństwo do N. Panny, cechujące przodków naszych, wzięło początek w wieku XII, gdy Kazimierz Sprawiedliwy i jego przyjaciel Piotr Dunin mieli, według kronik, wybudować wiele kościołów, czci Matki Boskiej poświęconych. Następnie zastanawia się nad stosunkiem Twardowskiego do Maryi Panny według legendy, a mianowicie o śpiewanych przez niego godzinkach i wzywaniu pomocy, gdy go już dyabeł miał porwać; dalej zastanawiając się nad tym faktem, że Marya Panna zajęła miejsce słowiańskiej Marżanny (gdyż zamiast św. Marya mówiono nawet św. Marża), na mocy lingwistycznych wniosków z samego nazwiska „Twardowski“, rysów legendy tyczących się skał, kamieni i t. d. i wreszcie z porównania Twardowskiego z indyjskim Twasztri, ruskiem Tugarynem i t. d. dochodzi ostatecznie do przypuszczenia, że Twardowski—to postać bajeczna, symbol, oznaczający błyskawicę. Postać ta, według autora, kolejno w ciągu wieków zmieniła kształty i nazwy, ale zawsze była ściśle połączoną ze starosłowiańskiem bóstwem Marżanną, a ów Piotr Dunin, słynny z wybudowania tylu zamków, kościołów, miast (Piotrkowa) ma to być ten sam Twardowski, postać bajeczna.

Nie możemy na tem miejscu szczegółowo roztrząsać wszystkich zbliżeń i porównań przez p. S. użytych: droga to w ogóle śliska i obok trafnych, napotykamy i tutaj wywody nieco naciągane; zawsze jednak pan S. opracował swój przedmiot troskliwie, z erudycyą i w sposób bardzo zajmujący, szczególniej dla tych, którzy interesują się ludowemi legendami. Zresztą pan S. nie podaje swych przypuszczeń za nieomylne wyniki: chce on tylko zachęcić do dalszych badań w tej kwestyi... specyalistów, których niestety, tak dobrze jak nie mamy wcale.

Z artykułów treści literackiej wspomnimy jeszcze „Obrazy ze spółczesnej literatury angielskiej“ przez pana F. J. Pospolicie pobieżne wiadomości naszego nawet wykształceńszego ogółu o literaturze angielskiej kończą się na Byronie, Dickensie, Thackerayu, czasem p. Beeche Stowe i Longfellowie. O nowszych poetach i pisarzach, obecnie jeszcze żyjących, tak dobrze jak nic nie wiemy. Co prawda, nie ma tam też wcale świetnych geniuszów; zawsze jednak są utalentowani poeci i powieściopisarze jak Browning, Swinburne, Eliot, Austin, Rosetti i t. d. Dzielą się oni na trzy szkoły: biblijną, realistyczną i prerafaelityczną czyli średniowieczno - romantyczną. Sprawozdawca streszcza i podaje w wyjątkach celniejsze utwory tych i niektórych innych poetów angielskich.

Ks. Siarkowski podaje w zeszycie sierpniowym wiadomość o odkrytych przez siebie kilku kartkach z nieznanej biblijografom naszym „Tragedyi żebraczej“ drukowanej u Andrysowicza 1552 r. Treść tej sztuki stanowiła zwada żebraków częstochowskich (już wtedy słynnych) z chłopami i babami. Sprawozdawca przytacza wyjątki, świadczące o czystym języku i wcale poprawnym wierszu.

W zeszycie wrześniowym p. Niemojowski z właściwym sobie talentem opowiada swoją wycieczkę do Mongolji. Znajdujemy tu wiadomość o poetach mongolskich, jednego z nich zwłaszcza, imieniem Dżen-Lully, który powstaje przeciwko zniewieściałości i znikczemnieniu swoich rodaków, chwali bardzo pan N. i podaje w tłomaczeniu wyjątek z jego pełnych życia poezyi.

Inne szkice podróżne — opowiadania p. Narbutówny o pobycie w Ameryce, ciągną się już przez kilka zeszytów. Bardzo wiele tu rzeczy, uprzednio już przez autorkę i to niemal dosłownie drukowanych w Listach z podróży w Gazecie Polskiej. Autorka w ciągu kilku miesięcy nie mogła bodaj wszechstronnie poznać społeczeństwa amerykańskiego; pochwalamy wiele poczciwych jej zasad i pragnień, a zwłaszcza ujmowanie się za prawami uczucia, religji i moralności śród gorączkowej pogoni za zyskiem i prozaicznego zmateryalizowania, ale podobno autorka zbyt czarno widzi wszystko bez wyjątku: sądy jej zbyt są krańcowe i jaskrawe, co częstokroć zdradza ich jednostronność. Oto np. czytamy, że w Ameryce „opinija publiczna w zupełności nie istnieje: nikt się nie będzie oburzał na jakiś czyn nieczysty, z największem pobłażaniem patrzą *wszyscy* na postępek, wykraczający przeciwko prawidłom sumienia i honoru, z gotowem już tłomaczeniem, że każdy może robić co mu się podoba, bo to kraj wolny“ (Lipiec str. 92). A oto próbki innych bezwzględnych sądów:

„*nikt* się tu w domu nie troszczy, czy dzieci się uczą i jak uczą“ (Wrzesień str. 422); „*każdy* z całą swoją nawet istotną wartością zginie, jeżeli nie potrafi otoczyć się humbugiem i jaskrawy blichtr rzucić publiczności w oczy; bez szarlataneryi i rażących arlekinadą reklam powodzenia mieć nie może“ (tamże str. 424). Podobnież ryczałtowo sądzi autorka o religijności, o stanowisku kobiet i t. d. Oto np. w tej ostatniej materyi powiada: „przyjętem jest, że młoda osoba nie tylko idzie ze swoim *beau* na bal, do teatru i na inne tym podobne rozrywki, ale nawet razem robi wycieczki w bliższe i dalsze okolice kraju...: młoda kobieta robi co jej się podoba... często się zdarza że mężczyzna powraca sam, a kobieta, dobrawszy sobie jeszcze przyjemniejszego towarzysza, dalej podróż kontynuje... nie gubi to także w opinji publicznej osoby tak swobodnego postępowania, owszem, takie kobiety najlepiej wychodzą za mąż, bo są najzręczniejszemi kokietkami, co tutaj najwięcej szansy kobietom zapewnia“ (Lipiec 91). Czytając takie i tym podobne sądy, wypadałoby uwierzyć, że ludność olbrzymiej republiki, zwanej Stanami Zjednoczonemi, jest to stek indywidyów bez czci i wiary, wyzutych ze wszystkiego zbrodniarzy, szarlatanów i oszustów, bezwstydnych kobiet i ciemnych nieuków, nie umiejących nawet odróżnić dobrego od złego, którzy nie znają co to opinija publiczna i sądzą że w kraju wolnym wszystko wolno, to jest kraść, zabijać i t. d. Tak źle tam chyba być nie musi.

Historyczna powieść Kraszewskiego „Z siedmioletniej wojny“ doprowadzoną już została do chwili zajęcia Drezna przez Prusaków. Powiemy o niej obszernie gdy ukończoną zostanie.

Już z tego pobieżnego rozbioru, w którym nie wszystkie nawet wymieniliśmy artykuły, widać że Biblijoteka Warszawska, jak zawsze stara się o rozmaitość i pożytek swoich części składowych. Nie mówiliśmy nic o dziale krytycznym, w którym wyróżnia się np. ocena „Historyi Konia“ Czapskiego, napisana tak przystępnie, wyczerpująco i gruntownie, a przy tem dająca tak dokładne wyobrażenie o samem dziele, że profani, nie mający czasu ani ochoty przeczytać grube dzieło Czapskiego, treści tak specyalnej, mogą poprzestać na tej recenzyi pióra p. Rościszewskiego (zeszyt wrześniowy).

Słabą stronę Biblijoteki Warszawskiej, jak to jednozgodnie przyznają wszyscy, stanowi niekiedy Kronika Zagraniczna, nie zawsze zalecająca się udatną kompilacyą i żywotnością treści, często rozwlekła lub aż do znudzenia przepełniona wierszowanemi tłomaczeniami. W kronice lipcowej zresztą wierszy w ogóle tylko trzy stronnice, tyleż w sierpniowej i ze sześć stronnic we wrześniowej, ale za to pierwsza nuży rozwlekłym, większą część kroniki zajmującym (19 stronnic) opisem obrazów na wystawie paryzkiej, a we wrześniowej poświęcono aż 10 stronnic opowiadaniu o miłostkach francuzkiego truwera Machaut, który chociaż i był na słynnych godach Wierzynkowskich w Krakowie, wszelako wystarczyłoby dla nas to, co kronikarz na pierwszych dwóch stronnicach swej wzmianki powiedział.

Nie dawno odezwał się w prasie naszej głos, zarzucający Biblijotece ubóstwo względne prac w przedmiotach krajowych. Kto temu winien? Zkąd ma brać redakcya więcej rzeczy krajowych, skoro po za obrębem szczupłego stosunkowo kółka członków redakcyi, nie zawsze mogących oddać się pracy w tej gałęzi, nikt prawie z piszących krajowymi przedmiotami się nie trudni? Niewiele podobno na niwie rzeczy krajowych pracowali i ci członkowie którzy nie dawno opuścili redakcyą, co pobudziło niektórych stronnych i osobistymi względami kierujących się publicystów do opłakiwania sierocej doli Biblioteki, opuszczonej przez główne wrzekomo swe filary. Wspominamy o tem dla tego, że i poniżające Biblijotekę zarzuty recenzentów i proroctwa o jej niedalekim upadku, gdy została pozbawioną owych Atlasów—to wszystko uważamy również za wypływ tej samej zemsty. Czy istotnie tak potężnie owi ex-członkowie—nie myślimy przez to ujmować nic wartości ich prac, zasilali Biblijotekę, łatwo przekonać się ze spisu treści Biblijoteki z lat ubiegłych, który mamy możność łatwo przebiedz, dzięki pracowitości p. Estrejchera. Znajdziemy tam podpisane imionami owych Atlasów kilka recenzyi i parę kompilacyi z francuzkiego i niemieckiego, nie zawsze.... genialnych. Mamy więc nadzieję, że wbrew przepowiedniom przyjaciół, Biblioteka Warszawska i przy obecnym składzie redakcyi nie przestanie rozwijać się; może nawet nie *quoique* lecz *parceque*.....

W.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Ozdobny piecyk żelazny bez rury.

Śliczny ten piecyk formą słupka bardzo ozdobnego, nadzwyczaj jest oszczędny co do paliwa, nie wiele zajmuje miejsca i przenieść go w każdej chwili można wedle potrzeby i uznania. Nadewszystko w pokojach długo nie opalanych wśród zimy, a któreby się rozgrzać w danej chwili chciało, prędko i należycie z obowiązku swego się wywiązuje.

Piecyk ten jest zupełnie nowym i wybornym systematem wynalazku pana Lecocq, a jest tem wyśmienity, że nie wymaga żadnego zaciągania rur bądź do okna, bądź do pieca, jak to z żelaznemi piecykami znanemi nam dotąd miało miejsce. Czad czyli gaz węglowy, tak niebezpieczny, więzi się między podwójnemi ścianami słupka, i na zewnątrz wydobyć żadną miarą nie może. Podstawa zaś jest tak wyborną wentylacyą opatrzona, że zawsze zimna pozostaje i bez poprzedniego jakiegokolwiek przygotowania funkcyonować może, choćby piecyk w bezprzestannej był czynności, pozwalając go stawiać gdzie tylko zajdzie potrzeba, nawet w salonie dywanem zasłanym.

Węgiel nakłada się z wierzchu; rozpalać się mający piecyk dobrze jest wynieść na ten czas do sieni lub na powietrze. Jeżeli go chcemy zostawić w pokoju potrzeba jest na 10 minut przynajmniej okno otworzyć. Dopóki bowiem węgiel nie pozbawi się niebieskawego płomyka gaz ten może nieprzyjemną wonią pokój zapełnić. Węgiel nasypany przez sześć do siedmiu godzin utrzymuje ogień, nadzwyczaj wolno zużywając się.

Elegancki ten mebelek jest w dwóch wielkościach. Większy ogrzać może pokój o jednem oknie, dostateczne i jednostajne w nim ciepło utrzymując, jeżeli odpowiednio się z nim zachowamy. Kosztuje rs. 25. Drugi zastosowany do pokoju większego rozmiaru np. o dwóch oknach kosztuje rs. 35.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Bolesławowi P. Powieść p. t. Marzenie i rzeczywistość nie jest odpowiednią dla Tygodnika.

P. E. Powieść Rojenie i Rzeczywistość źle wybraną została do tłomaczenia. Druga powieść Dwie kuzynki potrzebowałaby wielkich poprawek a nawet zupełnego przerobienia.

Panu Jakóbowi J. N. w Bobownie. Maszynka do kawy naftowa, tak nazwana *nec plus ultra* kosztuje rs. 6 z dołączeniem rądelka z angielskiej blachy do śmietanki. Inne także dogodnego systematu, naftowe maszynki do kawy, lecz nie parowe tak jak pierwsza od rs. 3 k. 50. Nie liczymy tu ani kosztów opakowania ani przesyłki pocztowej.

Pani Hrabinie Maryi P. w Kijowie. Kapelusik jesienny dla małej panienki kosztować może mniej więcej od rs. 6 do rs. 12. Płaszczyk Water-proof od rs. 12 do 25. Próbki wełnianych jesiennych materyjałów z dołączeniem i wymienieniem szerokości posłaliśmy w liście z 13 b. m. Maszynę do szycia za zgłoszeniem się, wybierzemy jaka będzie uznana za najlepszą.

Pani Wandzie K. w Talnie. Żądane knoty do naftowej maszynki, wysłane zostały d. 3 t. m.

Pani Józefinie Z. w Nowochopiorsku. Nr. 29 powieściowego dodatku T. M. i sprawunki wysłaliśmy d. 3 t. m.

Pani Elodyi J. w Szamrajówce. Nici, druty i mignardise'y wysłane podług wskazówki, na drugi raz wszakże o więcej dokładne żądanie prosimy; nie posyłamy włóczki, peli i kordonku ponieważ nie wiemy jakiego koloru.

Pani Maryi L. z Widocznej. Żądane książki wysłaliśmy pocztą w dniu 2 b. m. pozostało 60 kop. Całkowity zbiór pism Klementyny z Tańskich Hoffmanowej wyjdzie w nowej i kompletnej edycyi na Nowy rok; wkrótce prospekt cenę oznaczy.

Panu J. G. w Starachowicach. Książeczka pod tytułem *Nowy Bosko* kosztuje kop. 22 1/2 przesyłka w opasce kop. 2.

Panu Leonowi K. w Niżnym Nowgorodzie. Książkę pod tytułem *Wykład kroju* Gałeckiej posłaliśmy w dniu 5 b. m. pozostała jedna marka z dwóch przysłanych.

Pani Maryi P. w Turbijówce. Apteczka Mateckiego kosztuje kop. 60, *Gimnastyka* tegoż autora rs. 1 kop. 20, opaska kop. 20, razem wszystko rs. 2. W redakcyi rs. 2 pozostało, co z niemi zrobić?

Pani Maryi K. w Pińczowie. Pieniądze na sprawunki wysyłać prosimy pod adresem redakcyi. O ile kwota przysłana jest większą tem procent się mniejszy oblicza. Od kwoty przechodzącej rs. 150 procent liczy się 2%; mniejsze summy rs. 10 niewynoszące opłacają od 4% do 6% stosownie do mniejszego lub większego zajęcia się kupnem sprawunków do załatwienia poleconych.

Pani Maryi M. w Poniewierzu. Na list pisany i przesłany w dniu 10 z. m. b. r. nie mamy dotąd odpowiedzi. Czy doszedł na miejsce?

Pani Felicyi I. w Duninie. Przyjaciela Dzieci cały komplet tegoroczny przesłaliśmy.

Przyjaciela Dzieci Nr 42 wyszedł z druku i zawiera:

Trzewiki sąsiada (przełożyła z francuzkiego Eliza S... dalszy ciąg). — Niedziela (wiersz).—Święta Julija (drzeworyt). — Zwaliska zamku w Wyszynie (z drzeworytem). Jerozolima (dalszy ciąg).—w Dodatku: Wawerlej.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: *Do* **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 25 Сентября (7 Октября) 1875 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz**. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 42.

N. 1. Ubranie wizytowe dla młodej panienki.

Suknia z jasnej kolorowej materyi wełnianej przystrojona jest plisowaniem i kokardami. Kirasowy stanik pod-



N. 1. Ubranie wizytowe dla młodej panienki. N. 2. Ubranie spacerowe dla młodej panienki. N. 3. Chusteczka z wstawki i koronki.

łużnie otwarty pod szyją ogarnirowany jest plisowaniem muślinowem lub tiulowem, przyciśniętem u dołu riuszą z siepanej materyi, 4 cent. szeroką, która spuszcza się aż do wcięcia stanu i zapina rozetą z długiemi końcami. Rękawy sięgające do łokci dopełnione są plisowanemi falbanami, zachodzącemi jedna na drugą i riuszą. Fartuszkowa tunika przybrana jest odpowiednio do sukni plisowaniem i zapięta jest z prawego boku rzędem kokard. Odpowiednio do wykwintniejszego lub skromniejszego materyjału użytego na suknię, kokardy robią się z materyi, repsu lub wstążki białej przerabianej w deseń.

N. 2. Ubranie spacerowe dla młodej panienki.

Każdy wełniany materyjał odpowiedni jest na tę suknię, której stanik odznacza się nowością wykończenia; ten rodzaj przybrania na staniku, jaki załącza ryc. 2 może być zastosowany i do amazonki; przy wełnianych sukniach dodaje się z materyi, przy jedwabnych z aksamitu. Kieszonka spadająca od paska stała się obecnie bardzo użyteczną, gdyż obcisłe, fartuszkowe tuniki, długo spadające, utrudniają dostanie się do kieszeni od sukni. Kieszonki więc takie odszywają się z materyjału sukni, oddzielne do każdego ubrania, naszywają wprost na tunice lub wykończają z czarnego aksamitu lub repsu i w takim razie dają się zawieszać przy każdej sukni. Podana na ryc. 2 kieszonka liczy 24 cent. szerokości a 18 długości, wymaga trójkątnego kawałka materyjału, nawleczonego u góry na elastykę i naszytego na podstawie tekturowej 18 cent. długiej a 12 szerokiej; pasmanterya i kokarda dopełnia przybrania.



N. 4—5. Ubranie dla dziewczynki lat 7—10.

N. 3. Chusteczka ze wstawki i koronki.

Formę chusteczki dopasowywa się najpierw z bibułki, przymierzywszy na osobę aby dobrze leżała, następnie wycina ją się z papieru i na nim naszywa podług ryc. 3 kawałki wstawki idące poprzecznie, zakładając od góry gdzie niegdzie małe fałdeczki. Po zamocowaniu odciętych brzegów przyszywa się wstawka 6 cent. szeroka, idąca wzdłuż dolnego brzegu, z po za której spada koronka. Następnie odprówa się chusteczkę od papieru i dodaje do niej od góry riuszę z koronki 3 cent. szerokiej, z przodu zaś przy zapięciu chusteczki na piersiach dodane są końce z wstawki oszytej koronką. Rękawy stanika oszyte są również wstawką i koronką, z pod której wysuwa się muślinowe plisowanie.

N. 4—5. Sukienka dla dziewczynki lat 7—10.

Ryc. 4 i 5 przedstawiają przód i plecy wełnianej sukienki, dopełnionej vêtement w nowym rodzaju. Przody tego vêtement krajane w całej długości, u dołu w formie fartuszkowej tuniki, dodane mają kieszonki po bo-

kach i po złożeniu fałdów na bokach przyszywają się do pleców, wyciętych podług formy półwciętego paletocika. Z pod pleców podciętych w formę karoczka u dołu, jak to wskazuje ryc. 5, wysuwają się szarfy zakończone frendzlą i pukiel.

Sukienka przedstawiona na ryc. 4 ma vêtement ozdobione pliskami 3 cent. szerokiemi z wypustką i haftem białym. Kołnierzyk wykładany i rękawy oszyte są także haftem; kieszonki dodane z boków mają formę półokrągłą i liczą u góry po 11 cent. szerokości a 13



N. 6. Czepek przybrany kokardami.

cent. środkowej długości, kontrafałda założona w środku przyciśnięta jest kokardą. Spódniczka zaplisowana w równe fałdy liczy 60 cent. długości a 360 szerokości; przedni bryt na 16 cent. pozostawiony jest gładko, dalej zaś fałdy rozkładają się na dwie strony tak iż z tyłu pozostaje płaska kontrafałda. Na ryc. 5 widzimy sukienkę przybraną u dołu i u vêtement plisowaniem po nad którem idą pliski jedwabne lub z ciemniejszego materyjału.

N. 6 — 7. Dwa czepeczki dla osób starszych.

Do obydwóch czepków dane są denka jednakową formą kolistą, mające po 34 cent. średnicy, przedni brzeg wszywa się w prosty pasek sztywnego tiulu 2—3 cent. szeroki, założony w ząb z przodu, oprócz paska z przodu dodany jest trójkąt ze sztywnego tiulu, na którym opiera się ubranie.

N. 6. Czepeczek przybrany kokardami.

Denko tego czepeczka jest z jedwabnej illuzyi białej i czarnej; brzeg paska z przodu oszywa się białym nężykiem 2 cent. szerokim, zakończonym 1 cent. szeroką blondynką; dyjademowe przybranie składa się z takiejże riuszy przepinanej 6 cent. długiemi pukielkami z wstążki i podpiętej z boku kokardą. Welonik spuszczony z tyłu na denko, jest z białego jedwabnego tiulu, liczy 28 cent. długości a 16 szerokości, u dołu ścięty jest w ząb na 8 cent. a u góry założony w fałdę. Blondyna 6 cent. szeroka otacza w około brzegi welonika zaś po za dyjademowem prrzybraniem jest lekko nafałdowana i podniesiona w górę, podtrzymuje ją suta kokarda z pod której spadają końce przepięte pośrodku denka kokardą, Końce spuszczone przy twarzy są po 72 cent. długie i oszyte z jednego brzegu blądyną.



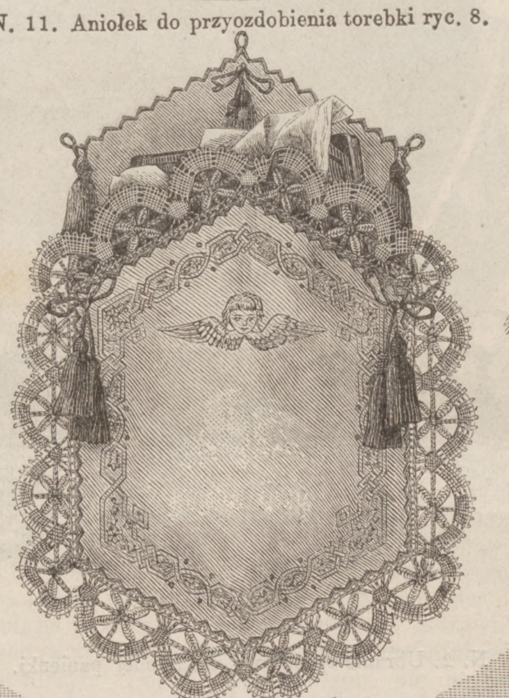
N. 10. Litera gotycka do wyznaczenia torebki ryc. 8.



N. 11. Aniołek do przyozdobienia torebki ryc. 8.



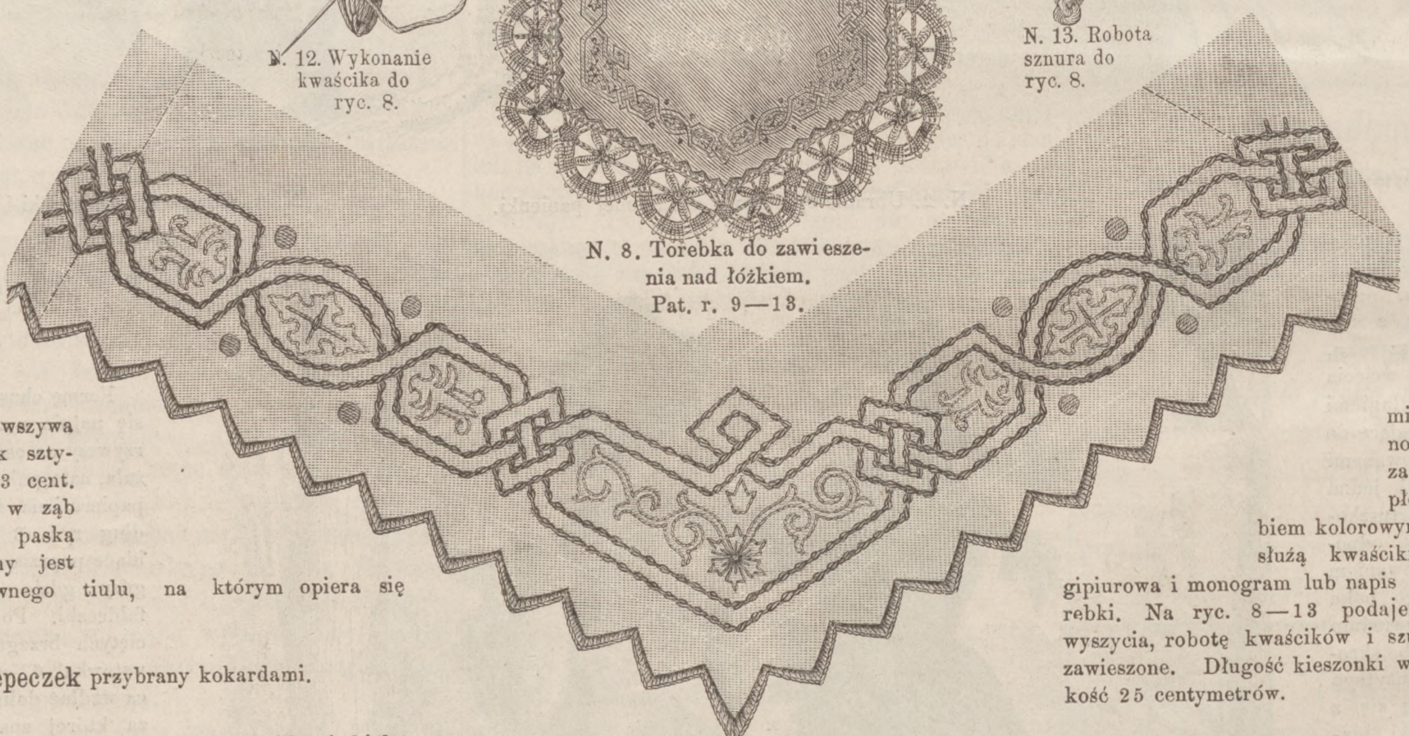
N. 12. Wykonanie kwaścika do ryc. 8.



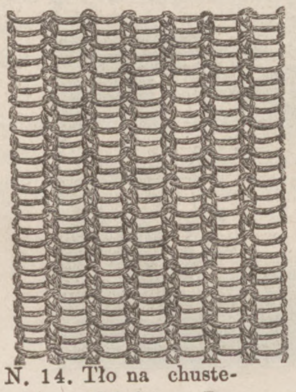
N. 8. Torebka do zawieszenia nad łóżkiem. Pat. r. 9—13.



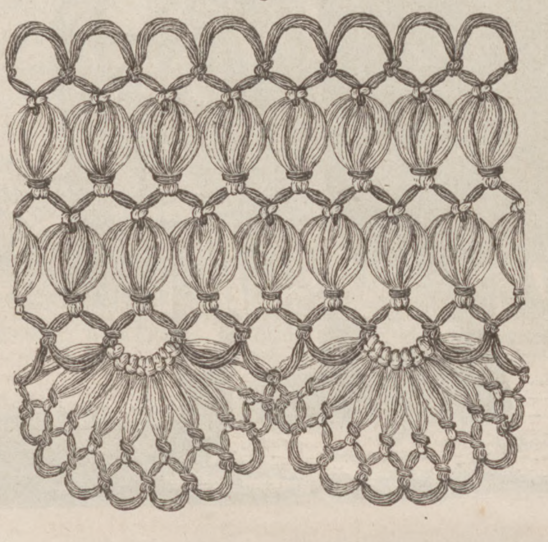
N. 13. Robota sznura do ryc. 8.



N. 9. Szlak do ryc. 8. Ścieg sznureczkowy, łańcuszkowy i dzierganie.



N. 14. Tło na chusteczki, szaliki i t. p. Robota na drutach.



N. 16. Koronka siatkowa.

N. 7. Czepeczek z rozetami.

Denko dane z czarnego jedwabnego tiulu w deseń, pasek w który jest wszyte denko obejmuje się z brzegu wstążką tego koloru co przybranie. Z wierzchu pasek nagarnirowany jest koronką i przykryty lekko przewiniętą wstążką na której przytwierdzone są następnie trzy rozety złożone z pięciu, 4—6 cent. długich pukli przepiętych w węzłem. Brzegi rozetek otacza 4 cent. szeroka koronka



N. 7. Czepek przybrany rozetami z wstążki i koronką.

ułożona w kontrafałdy; po za rozetami wzniesiona jest bufka z illuzyi, 7 cent. wysoka otoczona dwoma rzędami koronki. Przybranie denka składa się z dwóch końców wstążki, oszytych blondyną, która w odstępach 8 cent. nadmarszczona jest przez wierzch wstążki w formie liści; między końcami spuszcza się bufka z illuzyi 15 cent. długa, 6 u góry 3 u dołu szeroka, przypięta kokardami. Wstążka repsowa użyta do przybrania jest 4½ cent. szeroka.

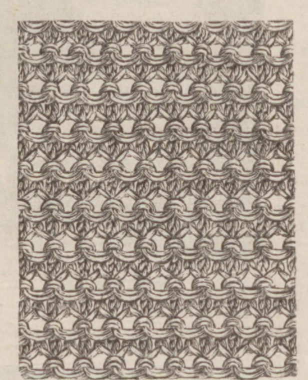
N. 8 — 13. Torebka do zawieszenia nad łóżkiem.

W torebce takiej pomieścić można bieliznę nocną i chustkę do nosa; za materyjał służy szare płótno wyszyte jedwabiem kolorowym. Do przyozdobienia służą kwaściki jedwabne, koronka gipiurowa i monogram lub napis wyszyty z wierzchu torebki. Na ryc. 8—13 podajemy oddzielnie desenie wyszycia, robotę kwaścików i szureczka na którym są zawieszone. Długość kieszonki wynosi 34 cent., a szerokość 25 centymetrów.

N. 14—15. Dwa rodzaje ściegu na drutach. Na chustki szaliki i t. p.

N. 14. Tło w pojedyncze nitki.

Ścieg ten wygląda jednakowo na obydwie strony, odrabia go się na dość grubych drutach, tam i napowrót, zajmując w każde oczko od spodu. Po wykończeniu rozciąga się robotę równo w szerz, przez co niteczki między oczkami dobrze się oddzielają.



N. 15. Tło w podwójne nitki na chus. szal. i t. p. Robota na drutach.

N. 15. Tło w nitki pojedyncze i podwójne.

Ścieg ten odrabia się na grubych i cienkich drutach dre-

wnianych, tam i napowrót. Na prawej stronie wydaje się naprzemian jeden rząd gładki a dwa kręto; gładki odrabia się na grubym drucie podwójną nitką zrabiając dwa oczka poprzedniego rzędu jednem.

Po przerobieniu całego rzędu zostawia się podwójne nitki a wziąwszy inną nitkę pojedynczą robi dwa gładkie rzędy na cienkich drutach. Ażeby te rzędy wydawały się z prawej strony gładko potrzeba jeden robić gładko drugi kręto.



N. 19. Koroneczka z gładkiej plecioneczki.

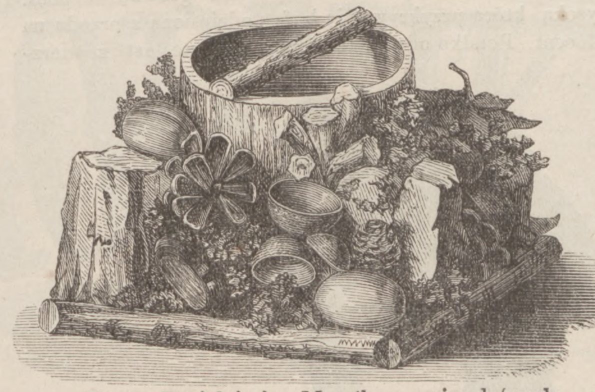
N. 16. Koronka siatkowa do zakończenia wełnianych chustek, szalików i t. p.

Materyjał: włóczka angielska, igliczka, cienki wałeczek; linijka 1 cent. szeroka.

Koronkę taką można odrobić w jednym lub dwóch kolorach; zaczyna się od dwóch rzędów na okrągłym wałeczku, trzeci rząd robi się na linijce przeprowadzając igliczkę dwa razy przez oczko a węzeł wiąże się nie w oczka lecz otaczając nitkę około oczek, jak to widać na ryc. 16. Ząbki łatwo wykonać podług wzoru, zajmując 9 razy w jedne oczko.



N. 22. Stanik przybrany haftem gipiurowym.



N. 20. Popielniczka. Mozajka z nasion leśnych.



N. 21. Szlaczek.

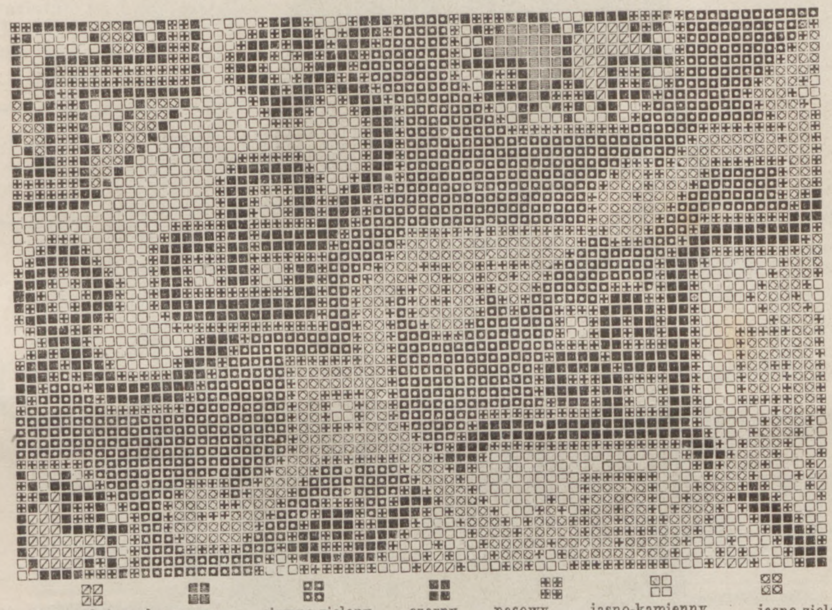


N. 23. Stanik przybrany plisowanemi kokardami.

N. 17—18. Wzory roboty krzyżowej do ryc. 6 w N. 41.

N. 19. Koronka do chusteczek, kołnierzyków i t. p.

Odrabia się z wąziutkiej płaskiej tasiemeczki spajanej kilkoma rodzajami koronkowego ściegu.



Niebieski, złotawo-brązowy, ciemno-zielony, czarny, pąsowy, jasno-kamienny, jasno-zielony.

N. 17. Deseń na tło do dywanu ryc. 6. w N. 41.

N. 20. Popielniczka. Mozajka leśna.

Podstawę stanowi deseczka $8 \frac{1}{2}$ cent. szeroka, 10 długa, której brzegi przykryte są cienkiemi gałązkami, przytwierdzonemi za pomocą cienkich sztyfcików. Maleńki pieniek wydrążony w środku mający 5 cent. średnicy, służy do otrząsania popiołu. Małe szyszki olszowe, żołędzie, miseczki od żołędzi, mech zielony i t. p. służą do ułożenia mozajki której wzór podajemy na ryc. 20; osobisty gust i umiejętność ułożenia znaczy najwięcej przy tego rodzaju robotach.

N. 21. Szlaczek do wyszycia na różnych przedmiotach.

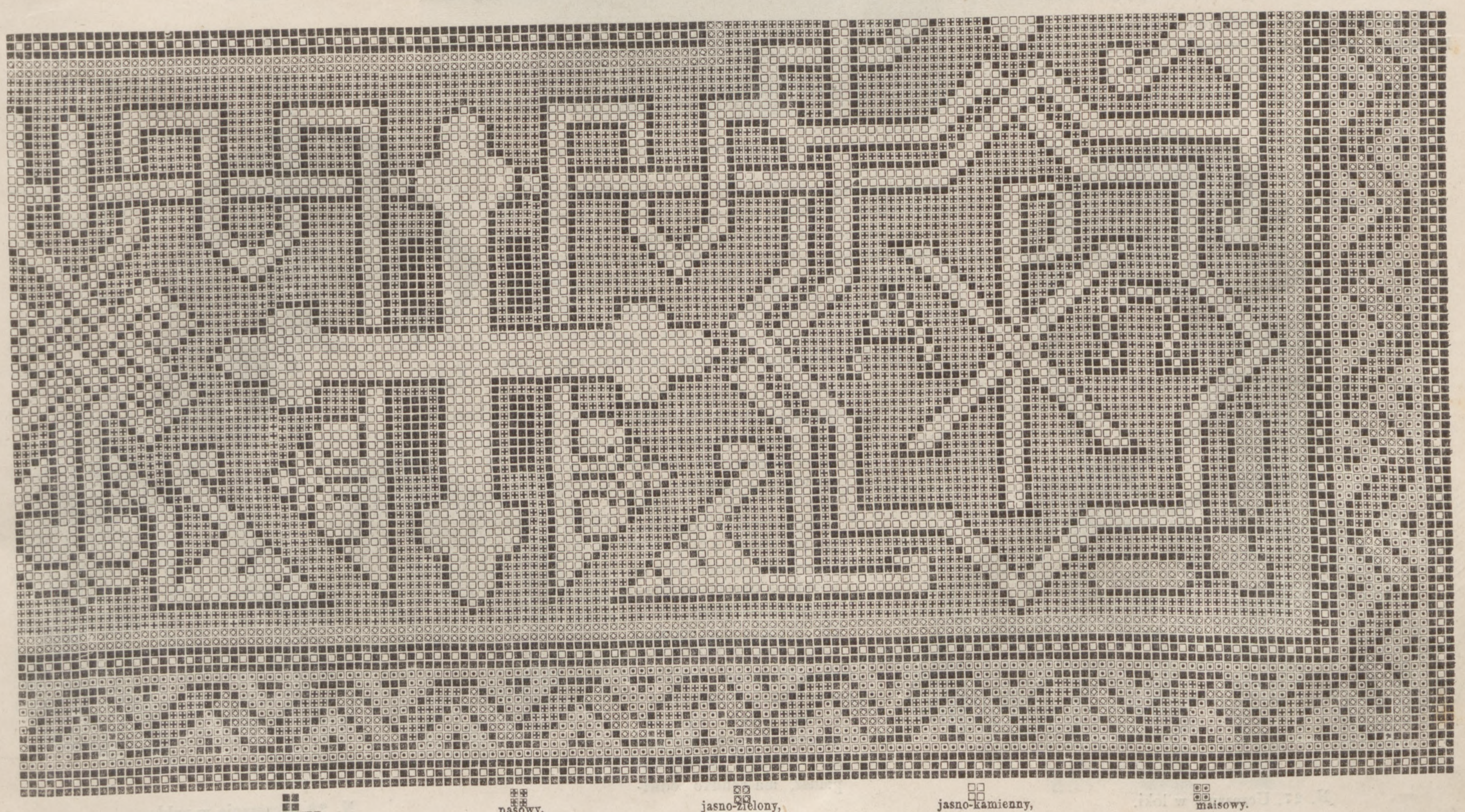
Szlaczek ten może zakończać brzegi kaftaników, szarf, serwetek i t. p., wyszywa się kolorowym jedwabiem, plecioneczką i sznureczkiem złotym.

N. 22—23. Dwa staniki. Krój do ryc. 38 w N. 28.

Formę baskiny u dołu ścina się szpiczasto lub zaokrągla jak u kirasów, najlepiej jednak dopasować ją na sobie.

N. 22. Stanik ozdobiony haftem gipiurowym.

Haft gipiurowy fabryczny lub ręczny, w kolorze białym lub piaskowym modny jest obec-



czarny, pąsowy, jasno-zielony, jasno-kamienny, maisowy.

N. 18. Deseń na szlak do dywanu ryc. 6 w N. 41. Patrz ryc. 17.



N. 24. Jesienny kapelusz filcowy.

nie do przybrania sukien wełnianych we wszelkich kolorach, kaszmirowych lub welwetowych. Stanik jaki podajemy na ryc. 22 ma baskinę oszytą takimże haftem, który przy sukni odbija bardzo efektownie, kołnierzyk trochę podłużnie otwarty i mankiety są też gipiurowe lecz w inny deseń i mają brzegi ostębnowane pliską batystową. Oryginalne wykłady na rękawach mają jedną połowę całą zastębnowaną w drobniutkie zakładeczki, podwójna pliska otacza brzeg wykładu i poprzeczną skośną stronę zakładek, kokardy z wstążki dopełniają przybrania.

N. 23. Stanik z plisowanemi kokardami.

Przybranie stanika od sukni w dwóch cieniach składa się z drobniutkiego plisowania jedwabnego, przy szyi i na kokardach. Na plisowanie potrzeba kawałka 16 cent. szerokiego zwężonego na 5 cent. przez złożenie 8 fałdów.

N. 24—25. Dwa kapelusze jesienne.

N. 24. Kapelusz filcowy.

Przybranie główki popielatego filcowego kapelusza składa się z wstążki jedwabnej „ruban sergé“, czarnego aksamitu i popielatego ptaszka z rozpostartemi skrzydełkami. Brzeg rondka wywiniętego z przodu w górę objęty jest aksamitem; podpięcie stanowi kokarda z wstążki i aksamitu, wstążka przeprowadzona jest od tyłu i połączona jednym puklem ze zwierzchnim przybraniem kapelusza.

N. 25. Kapelusz aksamitny.

Ciemno-zielony aksamit, wstążka repsowa tegoż koloru, 7 cent. szeroka i materyja błękitnawo-zielona stanowią materyjał na ten kapelusz. Fasonik ma główkę 6 cent. wysoką, która przykrywa się bufą podniesioną z przodu na 11 cent. Rondko odwinięte w górę pokryte jest z wierzchu gładko aksamitem a od spodu podszyte fałdowaną materyją. Bufa na główce wymaga kawałka aksamitu 48 cent. szerokiego, a 32 długiego, pokrytego z przodu na 10 cent. materyją. Przyszycie główki przykrywa podwójna aksamitna plisą, 9 cent. szeroka. Kokardy z aksamitu i wstążki i gałązka róży z matowo-zielonemi liśćmi dopełnia ubrania.



N. 26. Ubranie spacerowe lub wizytowe.

N. 26. Ubranie spacerowe lub wizytowe.

Czarna, repsowa jedwabna suknia przybrana jest bogato pasmanteryją i szeroką koronką. Prosta fartuszkowa tunika, kieszonki i rękawy zdobi pasmanteryja i koronka, jak to widać z ryc. 26 kieszonki przyszyte są wysoko a ubranie podchodzi aż pod baskinę stanika. Wykład na staniku, zapięty sutą kokardą wymaga skośnego kawałka, w środku 7 w końcach po 9 cent. szerokiego, zakończonego podwójną pliską. Okrągły filcowy kapelusz, ma rondko odwinięte z przodu pokryte aksamitem i otoczone z brzegu piórem, główkę zdobi aksamit i długie pióro.



N. 25. Kapelusz aksamitny.

N. 27. Uczesanie w loki.

Długie loki spadające z tyłu głowy, podpięte są ozdobnemi szpilkami w parę pukli na wierzchu głowy, przednie włosy lekko skarbowane odczesane są w górę na małych krepinach. Z boku wpięta jest kokarda aksamitna.

N. 28. Uczesanie w pukle.

Z własnych niezbyt długich włosów można upiąć to uczesanie, dodając tylko małych krepinek do pukli. Z przodu włosy odczesują się na podkładach i związują lekko z tyłu głowy, następnie rozdzielają co kilka promieni z których na małych krepinach zwijają się pukle, z boków od dołu parę promieni włosów można zawinąć w loczki, które wiele przyozdabiają uczesanie.



N. 27. Uczesanie w loki.



N. 28. Uczesanie w pukle.